

PLUSZCZ

Spoleczno-Literacki Ilustrowany Tygodnik Kobiec

ROK LXIV

WARSZAWA, DNIA 20 CZERWCA 1931 ROKU.

NR. 25.

TREŚĆ NUMERU: Autorytet w życiu społecznym — *Zofja Dzieciotowska-Brykalska*. Praca społeczna jako zawód — *Dr. M. Śliwińska-Zarzecka*. Za białą ścianą (szkic powieściowy) — *Jadwiga Kwiecińska-Korczakowska*. Imieniny pani Janki — *J. Putiatycz - Surynowa*. Ś. p. Zofja Żurakowska — *Zofja Miszevska*. Słowiańska pasieka — *Stefanja Podhorska-Okołów*. Dziesięć najslawniejszych — *N. J. Z teatrów* — *S. P. O. Z muzyki* — *G. Tolwiński*. Kongres kobiet słowiańskich Kobieta w świecie i w domu. Nasza Mównica Nie mam co na siebie włożyć — *Wanda Dobrzańska* Rady letniskowe — *J. Misiwicz*. Plaga letnisk — muchy — *Marzena Saryusz-Stokowska*. Żeby to, co jemy, szło nam na zdrowie — *Pani Elżbieta*. Przepisy gospodarskie — *Pani Elżbieta*. Dodatek „Mody i roboty”. Arkusz wzorów.

AUTORYTET W ŻYCIU SPOŁECZNYM

Z zagadnieniem autorytetu spotykamy się ciągle, od lat wczesnego dzieciństwa aż do starości. Tylko ten autorytet zmienia swoje formy i swoje oblicze.

„Nie wolno!”

„Dlaczego?”

„Bo mamusia tak każe!”

Narazie wystarcza. Później przestaje wystarczać. Mamusię zastępuje zatem ktoś inny: mąż, żona, szef biura, dyrektor fabryki, przyjaciel i t. p., lub coś innego — t. zw. zasady, poczucie porządku społecznego, etyka, religja, wiedza, obawa przed odpowiedzialnością i t. d.

Zawsze musimy podlegać jakiemuś autorytetowi. A że nastąpiła epoka wolności, indywidualizmu i egoizmu, że w czasach dzisiejszych każdy chce „sobie rzepkę skrobać”, więc odrzuca się wszelkie autorytety, które odrzucić można bez obawy bezpośrednich skutków, a zamęcza się (wskutek przerostu indywidualizmu) i unieszczęśliwia znoszeniem autorytetów koniecznych, których odrzucenie fatalnie i bezpośrednio oddziaływa na nasze życie codzienne i karierę (np. utrata posady).

Jest to udręka nielada. I dlatego tak mało wokół siebie widzimy ludzi radosnych, odważnych i kochających życie, a tak wielu nieszczęśliwców o przygasłym, udręczonym spojrzeniu.

Życiową konieczność autorytetu przy jednoczesnej wybujałości indywidualizmu czasów dzisiejszych boleśnie odczuwa zarówno jednostka, jak całe społeczeństwo. Najjaskrawiej zaś może występować to w t. zw. polityce. Każdy: mądry i głupi, patriota i war-

choł, dobry i zły, zacny i koniokrad — każdy uważa się za upelnomocnionego do wydawania bezapelacyjnych sądów o wszystkim, co w kraju się dzieje, o każdym posunięciu rządu, czy sejmu, ministra spraw zagranicznych czy wewnętrznych, o każdej ustawie, o każdym paragrafie.

Trudno żądać bezkrytycznego zachwyty nad tem, co się działo i dzieje w świecie: sądenie jest podstawą intelektualnego życia człowieka. Nie występuje się przeciw indywidualizmowi wogóle, a przeciw tego rodzaju *wybujałościom*, gdy tylko *ja* mam rację, tylko *ja* mógłbym przeprowadzić reformę, tylko *ja* i *moje* zdanie jest szczere i prawdziwe i logiczne. Takie bezkrytyczne samouwielbienie wynika z zupełnego braku poczucia obcego autorytetu, który się odrzuca a priori i bezapelacyjnie. Nie wiem, w jakim stopniu jest to wadą narodową, a w jakim — wynikiem ducha czasu, ducha międzynarodowego. Fakt pozostaje faktem, że bardzo wiele społecznych, czy państwowych idei ginie, wskutek braku poczucia autorytetu u obywateli.

Człowiek przeciętny, mający na swe usługi przeciętne, a więc ograniczone siły i zakres kompetencji, posiadający przeciętny umysł, nie może być sprawiedliwym sędzią wszystkich zjawisk życia, a więc etyki, polityki, przemysłu, kryzysu, zagadnień naukowych, ekonomicznych. Nikomu do głowy nie przyjdzie dawać sobie radę samemu w zagadnieniach, dotyczących sukni, bucika, maszyny dynamo, czy konstrukcji najnowszych typów samolotu, nikomu — poza specjalistami. A zagadnienia „nieuchwytnych”

zjawisk, jak np. krytyka cudzego postępowania — sądy etyczne — są dozwolone dla każdego.

Ubranie źle uszyte narzuca jedno zdanie wszystkim, zawodowcom i klienteli; ocena czyjegoś postępowania wywołuje sądy najsprzeczniesze. Czy dlatego, że jest to kwestja „mniej ważna“, nad którą głębiej myśleć nie potrzeba? Nie — są to zagadnienia stokrój ważniejsze, tylko „nieuchwytnie“. Nie brak ważkości, a poczucie bezkarności jest przyczyną lekkomyślnych sądów. I gdyby więcej odpowiedzialności — już nie mówię: sądowej, ale wprost moralnej, w świecie opinji, gdyby trochę więcej poczucia własnej niekompetencji — znikłyby z powierzchni życia społecznego, politycznego i rodzinnego te krzywdy, jakie wyrażamy swoją wiarą, że jesteśmy ostatecznym autorytetem dla zawitych spraw i zjawisk.

Stąd już jest krótka droga do uznania cudzej, większej kompetencji, czyli do uznania innych autorytetów.

Rzecz jasna, że zwalczają je najsilniej ludzie, którzy kochają wolność, którzy imponują innym niezależnością swych poglądów i odwagą przekonań. Tak. Ale tu jest jedna strona medalu, jedna strona naszego życia: świat intelektu. Ci sami wielbiciele wolności i swoich niezależnych dróg i dróżek, kłaniają się nisko swej władzy, robią to, co im ta władza każe, tracą w tem miejscu swój indywidualizm i stają się pionkami obcej woli.

Ale dusza ich cierpi. Bo w duszy *nie uznają* tej woli, bo ta zależność jest im wstrętna i nieznośna. Odczuwają ją wewnątrz, jako *upokorzenie*. I gdzież ich wolność?

Wolność w naszych warunkach ziemskiego, a tak często przyziemnego życia, jest utopją. Jesteśmy zawsze od czegoś zależni. I lepiej, gdy tę zależność uznamy wewnątrz, niż, przyjąwszy ją zewnątrz, wpadniemy w rozterkę i depresję.

Człowiek, który jasno sobie określi, że, żyjąc społecznie, zazębia swoje istnienie o tysiące innych istnień, który przyzna sam przed sobą, że indywidualizm, mając duże wartości moralne, ma też swe granice, że ten indywidualizm siłą rzeczy musi się ścierać z innymi, że tylko genjusz ma pełne prawo do indywidualizmu — człowiek ten zmaleje w swoich oczach, ale rozszerzy swój świat duchowy, wzbogaci się w nową, cudzą wiedzę, cierpliwie zność będzie tak nieodzowne w życiu zależności od obcej woli i uży-

ska spokój, bo przestanie walczyć z wiatrakami.

Któż to jest ten człowiek „wolny“?

To człowiek, który robi to, co chce... Ale *któ* w nim, czy *co* w nim tego chce? Najczęściej te „chcenia“ wyrażają jego zmysły, jego pycha, jego snobizm, jego niższe „ja“. A on sam staje się niewolnikiem swych zachcianek.

Nie jest to paradoksem, gdy się twierdzi, że człowiek o wybujałym indywidualizmie, człowiek, który siebie wolnym nazywa, jest właśnie najniezwyklejszym niewolnikiem.

Przypomina mi się bajka o głodnym wilku, królu wolności, i psie sytym, ale w obroży. Dla nas już niema puszczy i pustyń, gdzie wolno byłoby hasać, jak za dawnych, dobrych przedhistorycznych czasów; nas w Polsce jest 79 ludzi na kilometr kwadratowy, większość z nas mieszka w miastach o wielkiem skupieniu ludności. Gdybyśmy wszyscy chcieli być „wolni“, powstałoby coś gorszego od anarchji.

Trzeba się z tem pogodzić, że ta „obroża“ jest jednak konieczna. Na pociechę można powiedzieć, że po pewnym czasie nie czuje się jej. Tak, jak stopa ludzka — wszak nie stworzona specjalnie dla obuwia — przyzwyczaja się do niego, tak, jak żadnej trudności nikomu nie sprawia ukłonić się znajomemu na ulicy, tak i uznanie czyjejś władzy, czy kompetencji nie będzie nas „uwierać“, gdy już wejdzie w krew, zostanie przyswojone organicznie i przestanie podlegać czuwaniu świadomości.

I wtedy będziemy wolni. Duchowo wolni. Obroża... tak, jakby nie istniała. Wolność zaś, oparta na swawoli zachcianek, jest niewolą, która zawsze będzie dokuczała, bo siła prawa życia zbiorowego będzie stałym hamulcem, będzie tym łańcuchem, który nie pozwoli nigdy na pierwotną swobodę i stanie się przyczyną zmagania, szamotań i bólu.

Proste jest słowo dla osadzenia wolności na właściwym miejscu: miłość bliźniego.

Ludzie jednak słów prostych dziś nie rozumieją. Można je więc zastąpić innym: interes społeczny.

I w imię tego interesu musimy sobie powiedzieć, że nie czas na indywidualizm, że musi być podział pracy, kompetencji, a zatem i autorytetów.

Dopóki człowiek tego nie pojmie i będzie chciał zawsze być bogiem dla siebie, ba! bogiem dla innych — nie wejdzimy na tory spokoju jednostki i twórczej wartości życia zbiorowego.

Zofja Dzieciolowska-Brykalska.



PRACA SPOŁECZNA JAKO ZAWÓD

II.

Opieka społeczna nad dorosłymi rozpada się również na opiekę otwartą i zamkniętą. Do opieki otwartej należą tak ważne w chwilach kryzysu ekonomicznego i bezrobocia, stacje dożywiania; dalej — domy noclegowe, wymagające od pracowników wiele spostrzegawczości i taktu, bo pamiętać trzeba, że między pensjonariuszami, obok szumowin miejskich, znajduje się dużo zrujnowanej, wydziedziczonej przez los, inteligencji.

Pracą o niezmiernej doniosłości są misje dworcowe, utrzymywane głównie przez Komitet Walki z handlem kobietami i dziećmi. Do tej pracy będą odpowiednie jednostki silne, zrównoważone, odważne, obdarzone dużą energią i szybką orjentacją. Wreszcie do tej grupy należą omówione już przy opiece nad dziećmi poradnie przeciwgruźlicze, przeciwalkoholowe i t. p. Opieka zamknięta nad dorosłymi przejawia się w organizowaniu schronisk dla starców, kalek, domów opieki, domów zarobkowych, wreszcie, posiadających doniosłe znaczenie, domów ochrony kobiet. Praca w tym dziale jest naogół trudna, wymagająca, obok dojrzałości życiowej, równowagi duchowej, dużo zmysłu praktycznego.

W tym pobieżnym rzucie oka na formy pracy społecznej nie można pominąć działu niezmiernie ważnego, który dopiero wchodzi w poważną fazę realizacji; są to kolonje letnie dla dzieci, obozy letnie dla młodzieży, organizowanie wyczasów robotniczych.

Pozostaje wreszcie praca sekretarska, biurowa, potrzebna w każdym dziale pracy społecznej, w każdym niezmiernie doniosła; bo jeśli w przedsiębiorstwach prywatnych biurowość musi być prowadzona systematycznie, winno to być przestrzegane z większą jeszcze skrupulatnością, gdy w grę wchodzi pieniądz społeczny. Zwykle przygotowanie do pracy biurowej sekretarce w instytucji społecznej nie wystarczy, gdyż niejednokrotnie musi załatwiać sprawy, wymagające znajomości pracy społecznej.

Gdzie można zdobyć wykształcenie społeczne? Jeśli chodzi o higienistki, to mamy w Warszawie świetnie urządzone Państwową Szkołę Higjenu. W dziedzinie ściśle wychowawczej Min. Pracy i Opieki Społecznej urządza 2 razy do roku 3 miesięczny kurs dla wychowawców. Mamy również Państwowy roczny kurs służby dla dziecka.

Do pracy kulturalno-oświatowej przygotowują dorywcze dłuższe, lub krótsze kursy i systematyczne szkoły. Przy Wolnej Wszechnicy w Warszawie jest studjum Pracy Społeczno-Oświatowej, w Poznaniu Katolicka Szkoła Społeczna, która główny nacisk kładzie na akcję opiekuńczą; istnieje też (trzeci rok) Szkoła Pracownic Społecznych Polskiej Macierzy Szkolnej, mająca wszelkie widoki rozwoju (Warszawa, Żłota 14); kształci ona sekretarki, bibliotekarki i

instruktorki oświatowe. Do pracy ekonomiczno-gospodarczej przygotowują dość liczne szkoły gospodarcze (Lwów — Snopków, Chyliczki, Sokołówek, Ruda Czechowska koło Puław i t. d.).

Aby jednak stanąć do pracy społecznej, nie wystarczy skończyć szkołę. Trzeba pamiętać, że praca społeczna — to nie zawód: to powołanie, i dlatego, obok koniecznego wykształcenia fachowego, trzeba czegoś więcej. Ten, kto rozumie całą doniosłość zadań, jakie go czekają, musi przede wszystkim starać się o ugruntowanie własnego światopoglądu, gdyż praca społeczna nie jest celem sama w sobie, ale środkiem, wiodącym do uszlachetnienia jednostki, podniesienia duszy ludzkiej; osiągnięcie zaś tego celu jest niemożliwe, jeżeli u samego działacza poglądy na sprawy najistotniejsze są skłócone, horyzont myślowy ciasny, dusza zamacona, rozbita.

Następnie pracownik społeczny musi pamiętać, że, jeżeli w innych dziedzinach pracy ludzkiej rutyna, skostnienie jest wrogiem powodzenia, to w dziedzinie społecznej podkopuje ją zupełnie; dlatego obowiązany jest ciągle się kształcić, jednak, nie zamykając się w książce, czerpać wskazówki z obserwacji zjawisk i procesów życiowych, z doświadczenia własnego i cudzego.

Najwięcej jednak wysiłków musi pracownik społeczny poświęcić pracy nad własnym charakterem. Musi wyrobić w sobie silną, hartowną wolę, która nie może zrażać się przeciwnościami, ale przeciwnie zapalać do większych jeszcze wysiłków; wolę, która pomoże mu opanować własne troski, bóle, nastroje i nie pozwoli im uzewnętrznić się w pracy; która nawet w cierpieniu nauczy go, choćby przez łzy, zdobywać się na uśmiech, mający być dla cierpiących promykiem słońca. Trzeba umieć pogłębić w sobie zdolność ukochania dobra społecznego ponad własne, wyrobić w sobie przeświadczenie, że spełniamy tylko prosty obowiązek, a nie ofiarę, za którą należą się nam hołdy i nagrody; że rezultaty naszej pracy zależą od rozszerzenia duszy własnej, a nie od zewnętrznych warunków. Trzeba życie nasze najbardziej osobiste uczynić pięknem, czystem, zgodnym z głoszonemi przez nas zasadami. Prawda, wielkie i ciężkie wydadzą się nam te wymagania, ale wzamian za to nagrodą będzie poczucie naszej roli twórczej w narodzie; przeświadczenie, żeśmy nie zmarnowali życia, nie przechodzili obok palących jego zagadnień, ale skąпалиśmy się w jego nurcie; żeśmy nie byli tylko konsumentami, a może marnotrawcami kultury narodowej, ale że naszą drobną cegielką przyczyniliśmy się do jej wzrostu, przekazując przyszłości gmach jej coraz piękniejszy, coraz bardziej harmonijny; żeśmy mieli szczęście wykonać pracę najzaszczytniejszą, bo pracę nad duszami ludzkimi.

Dr. M. Śliwińska-Zarzecka.

ZA BIAŁĄ ŚCIANĄ

(szkic pomieszczeniowy)

2)

— Najważniejsza, to trzeźwość, logika, opanowanie, moje dziewczynki. Przecież to wasz egzamin formalny i psychiczny...

Właśnie!

Rena jest prawie wesoła (choć z innymi opila się „Walerjaną“ w apteczce). Przecież i tak nie pomoże chcieć wypisać, co się wie. Jeszcze nigdy w życiu nie było się taką głupią, zahukaną dziewczynką. Pisze się tylko to, co ręka może. To wprost śmieszne. Przez tyle dni, lat, patrzyli we mnie, znają każdą zaletę, każdy błąd. Tyle oczu skakało po dziennikach. A teraz nagle ten tunel i „ślepa babka“!...

Niby pracują wszystkie. Ale z każdej pochylonej głowy wysnuwa się taki bunt, czy samowola, czy coś bez imienia. Taki maleńki opar podświadomości. W jednym kącie klasy splata się z tych mgieł mocny, zbity wał siły. To są żądania, prośby, tęsknoty, wszystkie znaki zapytania. One nie są stąd. Chcą przebić biały mur klasy. Bo życie, które obchodzi od jutra, jest już za tą białą ścianą. Jeszcze chwila, a niezależnie od tematów maturalnych, wał skłębionych sił przewierci zaporę i rzuci się bezpamiętnie, niezatrzymanie w świat. Za białą ścianą.

Rena z westchnieniem ulgi odłożyła pióro.

Wolno, rytmicznie podeszły czujne kroki kierowniczk.

Obojętne dłonie zabrały niedbale arkusz pisma i położyły go bezszelestnie na stosie podobnych.

*

Po złożeniu ostatniego egzaminu (jeszcze bez wyniku), Rena wpadła do Joli. Leżała blada, bardzo poważna, na szerokim, bogatym łóżku.

— No, bywaj, Jol! Nareszcie znalazłam chwilkę! Głowa mi wprost pęka! Wymęczyli paskudnie! No, a ty co?

— Przedewszystkiem jesteś kochana, że o mnie pamiętasz. Strasznie niepokoję się tu o was...

— Ależ to my właśnie!... — Rena zniżyła głos. W tym aksamitno-jedwabnym pokoiku, przy zapuszczonych storach, pod melancholijnym spojrzeniem oczu chorej — nie można było nadal rzucać się, jak bomba zmęczenia i szaleństwa.

— Wszystkie zdały?

— Ba! jeszcze nie wiadomo. Ale i to dobre, że koniec, że amen. Że już nie będą dusić.

— Biedna Rena! Mówię ci, najlepiej nie myśl już o tamtem. Idź na spotkanie wiosny.

— A czy tobie nie przykro, Jol? tak się fatalnie zdarzyło...

— O, nie! Widzisz, to przecież naumyślnie tak się stało. Obroniło mnie przed tamtem złem — inne.

A teraz zmieniło się w dobro. Wiesz zresztą, zagrozili mi z tą głową, że znowu...

Jola w szóstej przechodziła zapalenie opon mózgowych. To było ciężkie przejście dla całej klasy. Po odratowaniu „kwęka“ do dziś. Złota, pocziwa dziewczyna, klasowa poetka i „mimoza“.

— Powiedz mi teraz, Renuś, co dalej robisz?

Roześmiała się. Bo to wie? Jeszcze o tem nie myślała.

— A ja już się cieszę, że tyle wolnego czasu. Można dużo myśleć i pisać...

— No, no, najpierw wstań, wyzdrowiej!

— Och, jest mi już znacznie lepiej, tylko matczka.. idziesz już? Dowidzenia, Renuś, dzięki ci, a przynieś mi kawaleczek wiosny, jeśli znajdziesz!..

— Dobrze! Pa!

Rena nie mogła dziś słuchać zwierzeń, nie mogła usiedzieć w zakurzonej bombonierce pokoju, do którego słońce zaglądało tylko przez szpary rolet. Prędko zbiegła ze schodów. Mdły zapach lekarstw i perfum zmienił się na szorstki wiew wiatru i kurz ulicy.

Ach, był dziś ten zwycięski, wiosenny wiatr! Cóż z tego, że podnosił tumany pyłu, sypkiego mialu asfaltowego, opar benzyny. Ale niósł naprzód, zakręcał w głowie, pomagał wydmuchać z głowy kilogramy zmęczenia. W tem, że nie trzeba było martwić się o jutrzejsze wypadki szkolne, tkwił niecodzienny urok. Można było wolne od teczki ręce puścić swobodnie, lekceważąco patrzeć na mundurki spotykanych pensjonarek. To była bardzo miła, jakaś dziecinna radość. Że już się z tamtem skończyło. Ani troszkę żalu. Teraz czeka bogate, nieznanne, interesujące życie. Można w nie biec całym rozpędem, po drodze witać się z wiosną, zmierzyć się z nowym dniem możliwości. A na teraz: słońce, swoboda, wieś! Żeby już ta wieś!

Teraz dopiero, zrzuciwszy alpagę fartucha, czuło rozkoszne ciepło słońca. I niebo też mocniej szafirowe. Trzeba jeszcze zdążyć zobaczyć wiosnę twarzą w twarz, póki nie ucieknie! Kasztany już przekwitły! Jeszcze gdzieś po bruku płacze się śnieg kwiatczków. Tyle tej wiosny w mieście, co ta zieleń nie liczących drzew, co te uśmiechy dzieci, wyprowadzonych na słońce.

Dziecko. Młodość. Dojrzałość.

Niewiedza. Szukanie. Prawda.

Czyż tak jest? Więc stoi się na progu...

— Rena! Rena, stój, na miłość Boską! Dokąd lecis? Słuchaj, słuchaj! zdałaś... już wiem! i ty i ja... Właśnie wracam... winszuję ci, co? Nareszcie! Cieszysz się?

— Skąd wiesz, Zocha, skąd?

— Od niej, od przełożonej... Trochę z łaciną u

mnie źle, ale furda!... Przepchali!... Czekaj, uściskam cię i lecę do domu. Tam czekają!... Wściekam się z radości! Pa!...

Pocziwa, śmieszna Zośka. Rzeczywiście zwarjowała na pięć minut. Aha, więc już się wie. Serce mocno tłucze. I jakby duma rozkoszna. Emocja mocna, jak alkohol. Trzymaj się, Rena. Przeszłaś zwycięsko próg. Czego było się tak strachać? A teraz gdzie? Do domu? Nie. Daleko, daleko! Zobaczyć wiosnę (jak mówiła Jola)!...

Ludzie śpieszą się, tłoczą. Wydierają sobie słońce.

Auta ryczą (zdenerwowane wiosną!), dzwonki, tumult, gwar. Oszałamiająca jest ulica!

Nogi maszerują dzielnie: raz, dwa, raz, dwa. Łokcie wybijają śmiało drogę (należy mi się!). Zmęczyć się, zmęczyć, wyprostować plecy, wyprężyć nogi.

O, wiosno, wiosno!

Długa, ruchliwa wstęga wiaduktu. Różowe, zielone pasma horyzontu. Namiot nieba. W dole przycajona cicho Wisła. I powietrze, nareszcie powietrze!

Nogi niosą, niosą...

W Skaryszewskim — ruch. Bezimienne kobiety, tłok wózków dzieciennych, świegot, skrzyp żwiru. Wdzięczy się filuternie gładko ostrzyżona przyroda parku. Gdzieniedzie tryska soczystymi plamami barw fontanna zieleni (plamy złote, seledynowe i oliwkowe). Z rozkosznym poczuciem zasłużonego odpoczynku Rena przypada do ławki. Oddanem, całującym spojrzeniem przywiera do błękitnej tafli stawu.

O, wiosno!

— Czemu tak późno? Obiad zimny! Czy jeszcze nie koniec?...

— Już, nareszcie! Zdałam!

— A, no, to chwała Bogu!... — z westchnieniem ulgi pani Bracka chowa się wgłąb mieszkania.

Rena zrzuca z głowy берет. Bronzowe niesforne kosmyki rozlatują się nad czołem. (Chociaż raz mogłaby matka mieć dziś weselszą minę!).

— Marek, wiesz? Zdałam!

— No, to świetnie. Teraz czekaj na męża... — dogryza brat, obijając niewidzialnego przeciwnika łapami w rękawicach bokerskich.

— Nie wieszysz mi?

— Eh, jest czego. Wszystko głupota. I tak nic ci w głowie nie przybyło...

— Co tak mi tniesz?

— Bo jestem zły. Dość mam całej rodzinki! Wszyscy się tną, ciągle awantury!...

— Co się znów stało?

— Co się stało? Ciągłe się dzieje! A ty tylko oczy szeroko otwierasz, dzieciaczku dwudziestoletni!...

— O co ci chodzi? A przedewszystkiem mam osiemnaście, nie dwadzieścia! Milutki braciszku!...

Rena trzasnęła drzwiami.

Może przynajmniej papa oceni zaszczyt... Gabinet pusty, papiery w nieładzie; wyszedł.

Nic ich nie obchodzi moja wygrana. Niema nawet z kim pomówić, nacieszyć się. Najwyższe napięcie oczekiwania odrazu przełamało się w nic nieznaczący fakt. Trochę z tego przykro. Gdyby chociaż matka! Ale znów splakana, kwaśna.

Ach, ten spacer tak rozkosznie zmęczył! Przyjemnie jest myśleć, że wolno dużo, dużo spać... W pokoju nie wiadomo, co robić. Dłonie czepiają się bez potrzeby przedmiotów, głowa cięży. Szary obłok na oczach.

Najpierw schować książki. Zeszyty wyduczone, zmięte, przetrawione płaczą się jeszcze po stole. Egzekucja: związać wszystkie mocnym sznurkiem, i na dno szafy! O, tak. A teraz rzucić się niedbale na łóżko — aa... wspaniale!...

Runęła barykada z książek (barykada przeciwko komu, w jakiej walce?). Runęła. A teraz majaczy szlak gościńca: co dalej?...

— Rena!

Niechętnie unosi się głowa: co tam?

W drzwiach Marek. Już zamiast trykotowej koszulki, przyklepiony do szerokich, mocnych pleców, błyszczący mundur. Czapka z gwiazdką, białe rękawiczki, lakiery, mina bohatera.

— Słuchaj, Rena. Muszę już iść, wrócę późno. Jak zobaczysz Wasyla, to proszę cię, wyślij go po buty do szewca; jutro święto. Ale, nie masz dwudziestu złotych?

— Co? Skądże ja, idź do mamy.

— Właśnie, tam lamenty, poco będę laził...

— Lamenty? Co się tu działo dzisiaj?

— No, znów była ta warjatka baba z pretensjami do papy... Więc nie dasz? No, to dobranoc, maturzystko!

— Dobranoc, Marek. Ślicznie wyglądasz... dokąd idziesz?

— Dobry mundur, co? — śmiał się, zadowolony. Zasalutował, brzęknął ostrogami, wypadł.

Ten zawsze zmienny, latający pędziwiatr. To kot, który już chodzi swojemi drogami — pomyślała Rena i wtuliła zmęczoną głowę w poduszkę.

Mrok zacierał szybko słoneczne plamy na podłodze.

Jadwiga Kwiecińska-Korczakowska.



IMIENINY PANI JANKI

(n o w e l a)

Mała uliczka zbiega wesoło z góry na dół. Słońce wypełnia ją po brzegi złotym blaskiem. Z obu stron wyżwirowanej jezdni zaczębiają się oplecione bluszczem sztachety, bieleją wille, barwią się kwiaty i czerwienią dachy. Wszystkie okna osłonięte zielono malowanymi deseczkami opuszczonych żaluzyj. W małych domkach, w półmroku chłodnych kuchenek przygotowują się „repas à midi“. Wilgotne, kamienne posadzki bieleją zimnym połyskiem. Nad rondelkami z wzorzystej emalji unosi się para i aromat.

Madame Jeanette na dużym, drucianem sitku otrząsa z perlistej wody zieloną sałatę. Służąca bretonka zmyła talerze, wylała kubelki, wyrzuciła śmiecie i... poszła. Trzeba samej przynieść (z piwnicy, położonej o dwa piętra niżej) butelkę wina. I trzeba samej nakryć do stołu (w położonej o piętro niżej, jadalni).

Madame Jeanette schodzi po lśniących, ślimaczo skręconych schodach ze stosem talerzy na tacy. Stopnie schodów, talerze i ręce Jeanette'y złocą się od słońca i ciemnieją od plam winnych gałązek, chwiałych się za oknem.

W jadalni panuje zielony chłód. Poprzez otwory żaluzji wpada rozgwar dziecięcy — to Paulette i Pirot bawią się w ogrodzie. Jej dzieci: Piotruś i Paulinka. W dużym lustrze, wiszącym nad kominkiem (między dwoma wazonami i zegarem) madame Jeanette widzi siebie: jasne włosy, kwiciastą, kretonową sukienkę i białe nogi w białych papuciach. Ma ochotę przykryć stół białym obrusem. Ale nie robi tego. Boi się!... Za ten zbytek imieninowy może ją skarcić „belle mère“ a i wyśmiać może — Georges. Trzeba poprzestać, jako solenizantka, na białej ceracie — trudno. Brak jej tego „zbytku“, codziennego w Warszawie. Sześć nakryć, po 3 talerzyki (zakąski, szparagi, kotlety). Szklanki do wina. Butelka białego. Na stoliku bocznym: sery, sałata, truskawki. Jak codzień, jak zawsze, po francusku! Jeszcze sól... i myśl:

— Chyba wszystko? Nie! Chleb... Jeszcze serwetki, i noże, i widelce...

Potem chwila odpoczynku na miękkiej kanapie. Chwila odpoczynku po sprzątnięciu mieszkania, upraniu sukienki i ugotowaniu śniadania. Chwila odpoczynku, choćby się świat miał zawalić! Choćby kartofle miały się rozgotować i woda „na drugim gazie“ miała wykipieć!...

*

Madame Jeanette obchodzi już 29-e imieniny w swoim życiu. Pierwsze zapamiętane imieniny były, kiedy miała lat sześć. Wołano na nią wtedy: „Jasiuchna“. Zaproszono dzieci na czekoladę z białą pianką (tej pianki nie lubiła) i dostała lalkę w krakowskim ubraniu.

Mając lat dziesięć, nazywała się: „Janka“. Pojechała w ranek imieninowy z matką i mademoiselle

do kościoła parafjalnego w Podoblociu. Kazano jej się modlić do swego patrona św. Jana Chrzciciela. W kościele pachniało pięknymi, czerwcowymi kwiatami: jaśminem i różą. Janka była szczęśliwa. Szczęście potęgowała myśl zdanego do I-ej klasy egzaminu (piątka z polskiego dyktanda, „pszenica“ napisana przez „sz“!). Wszyscy ją tego dnia całowali i życzyli jej spełnienia marzeń. Wierzyła, że życzenia się spełniają... Na obiad były lody!

Kiedy miała lat 15, mówiono do niej już często: „panno Inko“... lub „panno Jasieńko“ (tej nazwy nie lubiła). Wieczorem tańczono w dużym salonie, gdzie były dwa garnitury mahoniowe, a pod oknem stał duży fikus. Kwestja niebieskiej sukienki była wtedy kwestją pierwszej wagi, a sztubacki, zachwycony szept na werandzie, niezapomniany do dzisiaj:

— Chciałbym paść do tych złotych nóżek...

Następne imieniny — były już „wojenne“. Stopniowo koleżanki pensyjne zostały zastąpione przez koleżanki... biurowe. Marzenia senne rozviały się wobec spraw „źle sprzedanego“ majątku, „źle umieszczonej“ gotówki, „kartkowego chleba“, „nieopłaconego lokalu“ i „zaległych podatków“...

Ale w dniu 24-ym czerwca zgryzoty nikły... W dniu tym kochało ją tyle osób! rodzice, trzej bracia, bratowa, siostrzeniczka, pan Kazik, pan Tadzik... Na „lodach imieninowych“ bywały przelotem „wojskowe mundury“... Czasem następowały zmiany: pan Tadzik przestawał kochać, przestawał pisywać — żenił się z inną; pan Kazik ginął gdzieś na froncie i... zastępował go Jurek — który był „inny“, „nie taki“ i bez posady w cywilu...

Wszystko w te imieniny wojenne było niepewne, lotne, straszne... Szczególnie — miłość i życie ludzkie.

Mając lat 22, panna Janka poznała majora Carton — francuza. W blasku jego czarnych oczu marzenie rozkwitło nanowo w duszy panny „Jeanett'ki“. Georges był wykwintny, miał cudowny akcent francuski, wille pod Paryżem i własne auto! Imieniny były piękne! Pełne miłości i spełnionych marzeń, wizji tualet od Worth'a i luksusu paryskiego!...

*

Panią Jankę wołają:

— Jeanette, voyons...

Głos teściowej jest zrozpaczony.

— Co się stało?

Pani Janka biegnie. Swąd i czad.

— Kartofle!

Słysząc samochodową trąbkę. Półciężarowy samochód, rozwożący wiktuały papy Carton'a, daje znać o przybyciu!...

Jeanette biegnie po schodach!... Biegnie!! Biegnie!!!

„Maman“ jest bardzo nerwowa..., a „papa“ bardzo głodny!

J. Putiatycz-Surynowa



Ś. P. ZOFJA ŻURAKOWSKA

Wśród niewielu zresztą nazwisk, które odegrały decydującą rolę w rozwoju powojennej literatury dla młodzieży, nazwisko Zofji Żurakowskiej jest jednym z najbardziej wybitnych.

Te siedem niewielkich powieści, które nam pozostały w spuściznie młodo zmarła autorka, bezwzględnie będą należały do rzędu tych, które na równi z „Anią z Zielonego Wzgórza“, „Małym Lordem“ czy też pełnymi wdzięku powieściami Urbanowskiej, staną się z czasem najmilszymi wspomnieniami z dzieciństwa. Zresztą, odrzucając wspomnienia (Zofja Żurakowska pisała stosunkowo tak krótko i umarła tak młodo, że pokolenie, czytające ją, nie dorosło jeszcze do wspomnień), nawet dorosły i bardzo wybredny czytelnik da się porwać tej dziwnej poezji, jaka bije z utworów Żurakowskiej, i nieraz się zastanowi nad problemami, poruszonymi w nich w sposób bezpośredni i wnikliwy.

Pierwszym utworem Żurakowskiej — utworem, który od razu zdobył sobie uznanie, była wydana w r. 1925 powieść p. t. „Skarby“, i dalszy jej ciąg p. t. „Pożegnanie Domu“, wydane w r. 1927.

Nawiązuje tu jeszcze autorka do tradycji dawnych książek dla młodzieży, gdzie Ojczyzna i sprawy, z nią związane, były alfą i omegą ideologii młodego pokolenia. U Żurakowskiej ideologia ta nie jest gotowym, wykończonym uczuciem w sercach gromadki dzieci państwa Charleśskich, lecz kształtuje się stopniowo, w oczach czytelnika poprostu, aby wreszcie wybuchnąć silnie w jednej z ostatnich scen, kiedy to mały Nik, z narażeniem życia, ratuje z opanowanego przez chłopstwo dworu relikwję rodzinną — sztandar powstańcy.

Taki sam mniej więcej charakter patryjotyczny, tylko może o pewnym symbolicznym podkładzie, ma następna powieść Żurakowskiej p. t. „Trzy srebrne ptaki“ — powieść, stojąca na pograniczu rzeczywistości i czarodziejskiej bajki, uderzająca czytelnika barwnością dekoracji i bogactwem fantazji.

Potem jednak talent młodej autorki poszedł nagle w innym kierunku, a mianowicie przerzucił się na powieść społeczną. Nie należy rozumieć pod tem jakiegoś naracyjnego ciężaru, jakiegoś morału, sztyggo grubym ścięciem i zgóry już odstraszaającego młodego czytelnika opowieścią o wzorowym chłopcu, czy idealnie szlachetnej dziewczynce. Mali bohaterowie zarówno „Fetysza“, jak „Gościa z Ameryki“, lub powieści p. t. „Pójdziemy w świat“ — są dziećmi prawdziwymi, z wadami i zaletami, jakich mnóstwo młodzi czytelnicy znajdują wśród swego otoczenia.

W powieściach tych, obok wysokiej skali zagadnień społecznych, uderza jeszcze niesłychanie prawdziwa i bogata psychologia bohaterów, szczególnie w ostatniej i, kto wie, czy nie najlepszej powieści Żurakowskiej p. t. „Roman i dziewiętnastu“. — Tło po-

wieści — szkoła i różnorodne typy młodzieży — dały autorce możność podjęcia pewnych zasadniczych konfliktów społecznych, wśród których stosunek tłumy do jednostki wybitnej będzie jednym z najbardziej zasadniczych.

Mimo powagi poruszanych spraw, utwory Żurakowskiej odznaczają się niesłychaną żywością. Cecha charakterystyczna jej talentu — to właśnie lekkość i wdzięk, z jakim umiała rozstrzygać najbardziej zawile i ciężkie problemy. W powieściach jej, kartki smutku, przeplatają się z kartkami radości i przemiłego, złotego humoru, tak cennego w beletrystyce dla młodzieży.

Niejednokrotnie młoda autorka stała już na granicy makabryzmu, szczególnie w powieści „Pożegnanie domu“, gdzie przecież mówi o rzeczach smutnych i bolesnych, umiała się jednak w porę zatrzymać, i zakończyć powieść słowami: „Mamy teraz Ojczyznę. To jest więcej, niż dom“.

„Roman i dziewiętnastu“, ostatnia powieść młodej autorki, zapowiadała dalsze i ciekawe możliwości rozwojowe jej talentu.

Zerwała ona tutaj przedewszystkiem z dawnym szablonem ekliwkości ideologicznej i weszła na nowe drogi, dążące do wychowywania młodego pokolenia na dzielnych obywateli wolnej Ojczyzny. Dawny bohater powieści Przyborowskiego, dokazujący cudów męstwa na polu bitew, zamienił się u Żurakowskiej w budowniczego — Romana, który buduje w długotrwałym i zmuśnym trudzie.

Janki i Antki Przyborowskiego dostawali przy końcu powieści order od Naczelnego Wodza i wracali chlubnie do domu. Roman — po wykonaniu pracy odrzucany przez towarzyszy, został sam jeden i, kto wie, czy nie opadłyby mu ręce w zgryzocie i zniechęceniu, gdyby Joanna nie powiedziała tych niesłychanie ważnych słów: „Jeden człowiek rusza bryłę z posad w wielkim trudzie, a potem wszyscy już razem toczą ją dalej, i zwykle spychają go wtedy z przodującego miejsca... Niema się czem przejmować, przecież najważniejsza rzecz się stała: bryłę ruszono z posad“.

Artystyczna metoda wtopienia ideałów w wątek naracyjny i organicznego ich z nim zespolenia jest nieocenioną zdobyczą Żurakowskiej. Ze śmiercią jej nasze piśmiennictwo ponosi dotkliwą stratę.

Odszedł talent bogaty i różnorodny, talent o głębokim i oryginalnym podkładzie ideowym i o niesłychanym bogactwie słowa.

Nie można do twórczości Żurakowskiej stosować utartego zwyczaju, wystawiającego niejako poza nawias oficjalnej krytyki literackiej literaturę dla młodzieży. Wartości niepospolitego talentu ś. p. Żurakowskiej są tak głębokie, odrębne i, psychologicznie ciekawe, że wymagają stanowczo specjalnego opracowania w obszerniejszym studjum.

Zofja Miszewska.



SŁOWIAŃSKA PASIEKA

(sylwetki z Kongresu Zjednoczenia Kobiet Słowiańskich)

Wchodzą, ożywione, ruchliwe, gwarne, z szerokim uśmiechem na rumianych licach, siejące wokół siebie uściski rąk, słowa pieściwe, spojrzenia ciekawe a serdeczne. Wszystkiemu są rade, wszystkiego ciekawe. Skrzętnie gromadzą szczegóły, spostrzeżenia, porównania — gaździny zapobiegliwe.

To Czeszki.

Kroczą poważne, skupione, smagłolice i czarnobrewne, z utajonym ogniem w ciemnych źrenicach, opanowane w ruchach, raczej małowówne, ważące słowa, tajemnicze córki Południa.

To Jugosłowianki.

Bułgarki nie mogły przyjechać. Brak ich charakterystycznych twarzy o zrosniętych brwiach i zachwałych profilach, twarzy o barwie słoniowej kości, przeciętej koralem kapryśnych ust — postaci, wnoszących ze sobą czar bizantyńskiego Wschodu.

Jest jeszcze dziecko Północy: przedstawicielka Rosjanek-starowierek, zamieszkałych w Polsce.

Minęły te dawne, dobre czasy, kiedy to brat-Słowianin mógł przejść wskroś całą ziemię od Łaby do Dniepru, od Bałtyku po Adryatyk i wszędzie porozumieć się zapomocą własnego „słowa“. Dziś najłatwiej możemy się „dogadać“ z czeszkami.

PSZCZOŁA SŁOWIAŃSKIEJ PASIEKI.

Pani Smolarowa-Capkowa, przewodnicząca „Jednoty słowiańskich zen“. Skrzętna, zapobiegliwa, niezmordowana w robocie. Ma w sobie coś z mrówki i coś z pszczoły. Przywykła do tego, że człowiek, zawzięty w pracy, musi być ponury — ona jest w pracy zawzięta i wesola. Zdaje się, że to jest cecha narodu wszystkich czeszek: radość pracy. Czeszka zakasuje rękawy, urabia sobie ręce po łokcie, ale nie zaciąga zębów, tylko cały czas się śmieje. Cieszy się z przyszłych owoców swej pracy. Jest w tem jakaś dziecięca, rozbijająca ufność i wiara w pogodną siłę i w radosne zwycięstwo człowieka.

Pani Smolarowa-Capkowa wzięła na swe barki ciężar nielada: zjednoczenie kobiet słowiańskich. Od niej to wyszło, od niej się zaczęło. A jak ta myśl powstała? Czeska pszczoła sama nam opowie, jak zaczęła lepić pierwszy plaster słowiańskiego ula.

W r. 1923 jedzie na kongres międzynarodowy Związku prawa wyborczego kobiet, spotyka tam przedstawicieli wszystkich narodów słowiańskich, ale ani w obradach, ani w prywatnych rozmowach nie słyszy języka słowiańskiego: — „Luto nam było bez mowy słowiańskiej“ — powiada. I kielkuje w niej myśl stworzenia Związku Kobiet Słowiańskich, ale wówczas wzięły górę dążenia międzynarodowe i feministyczne. — powstała „Mała Ententa Kobiet“.

Dopiero w r. 1926 zaczyna się w Pradze pilna i poważna praca w tym kierunku, a owocem niej było powołanie do życia w r. 1929 „Jednoty Slovanskyh Zen“ — organizacji, wzorowanej na „Związku Słowianek“ z r. 1848.

Pani Smolarowa-Capkowa doskonale zdaje sobie sprawę, że są żywioly, wrogie Słowiańszczyźnie, które zmierzają systematycznie do zniszczenia warunków, koniecznych do samodzielnego rozwoju narodów i państw słowiańskich. A kiedy tak mówi, wol-

no, spokojnie, z rozważą, zdaje się, że nie słowa układa, ale cegły, że nie planuje, ale buduje. I od tych mądrych, serdecznych, z prostotą i niezłomnością dogmatu wygłaszanych słów, że „w jedności siła, niezgodność osłabia a nienawiść niszczy“ — bije zdrowe, ożywcze ciepło, jak od nagrzanego lipcowym słońcem pasieki.

PRZODOWNICA SERBSKICH SIÓSTR.

Pani Prodanovic, wiceprzewodnicząca najpoważniejszej organizacji kobiecej w Jugosławji „Koła serbskich sióstr“ jest rasową damą o szlachetnych rysach, smagłej cerze i południowych, wyrazistych oczach, które zachodzą mgłą, kiedy słucha serbskich pieśni, a zapalają się ciemnym ogniem, kiedy mówi o sprawach, które ją goręcej obchodzą.

Z każdego jej słowa bije ukochanie swego kraju i wiara w posłannictwo i przyszłość Słowiańszczyzny. Zdaje sobie doskonale sprawę, że istotne porozumienie narodów słowiańskich, a szczególnie zgoda między sąsiadami, których interesy zahaczają się wzajemnie, — nie jest rzeczą łatwą.

— Na tej drodze są ciernie, przy których wyrwaniu nieraz trzeba sobie będzie ręce zakrwawić — mówi z mądrym, trochę melancholijnym uśmiechem. — Ale to nic. To jest właśnie praca dla nas, kobiet. Tylko my, kobiety, możemy osiągnąć porozumienie tam, gdzie mężczyźni tego nie potrafią.

Pani Prodanovic ma za sobą długoletnią pracę



Pani Smolarowa-Capkowa.

społeczną i duży zasób doświadczenia na tem polu. Każde jej słowo posiada ciężar gatunkowy rzeczy przemyślanych, bije z niego powaga przekonania. A zarazem pod nurtem spokojnie płynących słów tli się jakiś ogień podziemny, ogień zapału, który nigdy się nie zdradzi ani gestem, ani doskonale opanowaną intonacją głosu. Czasem tylko wybuchnie wulkanicznym spojrzaniem agatówych źrenic.

Ta kobieta dużo wie, ma jasny, krytyczny pogląd na obecne położenie i na przyszłość narodów bałkańskich, a jednocześnie odczuwa wszystko z bezpośredniością i żywiołością dziecka Południa. Jest to gorące serce, opanowane przez chłodny mózg.

Wielka dama, która oprawą doskonałych form światowych gasi, jak powieką, swoje patetyczne, niepokojące, przepyszne oczy tragiczki.

CZESKIE SŁONECZKO.

Po oficjalnych powitaniach na otwarciu Kongresu wstąpiła na mównicę kobieta, której sama aparycja jest żywą propagandą Czech.

Rosła, tęga, o bogatej karnacji i cieplej, bladoróżowej cerze, typowa blondynka o błękitnych oczach i dziecinnych usteczkach, pani Jiraskowa-Peskowa promieniuje pogodą, zadowoleniem, dosytem, radością życia.

Dusza tej kobiety musi być nieprzebranem źródłem optymizmu. Wiara w zwycięstwo dobra, w triumf „słowiańskiej pochodni“, której żadne wichry wrogie zgasić nie mogą, — bije z jej utworu poetyckiego p. t. „Kobieta słowiańska“, wygłoszonego na otwarciu Kongresu. Treścią utworu jest wykład ideologii nawskroś romantycznej, blisko spokrewnionej duchowo z ideologią „Ody do młodości“.

„Kobieta słowiańska“ znalazła jednocześnie dwoje tłumaczy w osobach Aliny Świdarskiej i Jerzego Brauna. Dowód, jak silne wrażenie wywarła na obecnych.

O ile mowa wiązana Jiraskowej jest natchniona i pełna patosu, o tyle cały sposób jej bycia jest niesłychanie prosty, serdeczny — rzecz można: polny. Pani Jiraskowa jest nie tylko poetką, jest przemiałą kobietą.

Pochodzi z rodziny ziemiańskiej, w której żywe były tradycje rycerskie. Sama mówi o sobie, że środowisko, w jakim upłynęło jej dzieciństwo, obudziło i utrwaliło zasadnicze pierwiastki jej twórczości: miłość przyrody, ludu, ojczyzny i ludzkości. Uczuciom



P. Irina Pimonowa.

tym dała wyraz wcześniej, bo już w latach szkolnych, pisząc i improwizując poezje liryczne, najczęściej treści ideowo-refleksyjnej.

Wyszędłszy zamaż za dyplomatę, miała sposobność wejść w bezpośredni kontakt z kulturą Zachodu. Od dwu lat mieszka we Lwowie, gdzie mąż jej jest konsulem. Dziś wcale dobrze mówi po polsku, studjuje Mickiewicza, interesuje się naszą literaturą.

Napisała kilka wierszy okolicznościowych, odnoszących się do postaci naszych zmarłych pisarzy, np. o Sienkiewiczu, o Maryli Wolskiej.

A przytem jest matką jedenastoletniego syna, o którym mówi z macierzyńską dumą i troską. Rozmowa z nią, sama jej bliskość napełnia człowieka pogodą, jak widok żyznej niwy, rozkwitłej w słońcu.

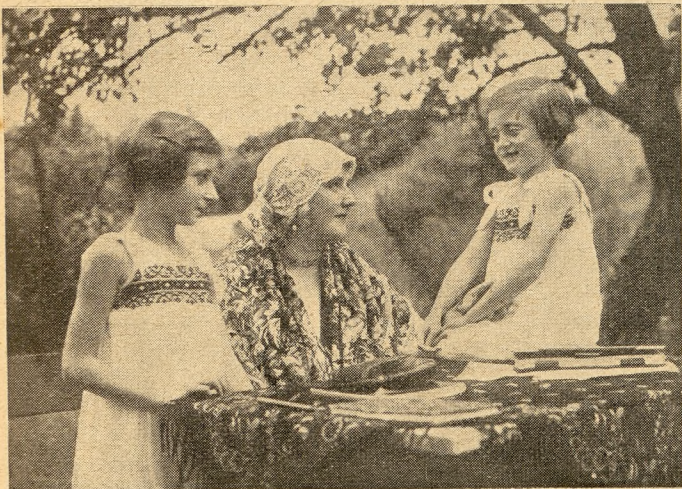
Tak musiała wyglądać legendarna Libusza, stanowiąca w symbolice słowiańskiej kobiecości radośny, słoneczny odpowiednik naszej tragicznej, księżycowej Wandy.

MŁODOŚĆ U STARTU.

Co za harmonja kontrastów! Młoda, żywa, przystojna, ruchliwa i bystra przedstawicielka „starowiek“. Z pojęciem Rosjan - staroobrzędowców przywykliśmy łączyć pojęcie czegoś bardzo w sobie zasklepionego, zamkniętego na dziesięć zamków i tyleż pieczęci. Tajemniczy świat dawnych tradycji, murem chińskim odgradzony od świata nowinek.

Tymczasem pani Irina Pimonowa wnosi na salę obrad powiew młodości. Przyjechała, jeszcze jako nieoficjalna delegatka, posłuchać, popatrzeć, zorjentować się, czy dla jej współwyznawczyń możliwą jest współpraca ze Zjednoczeniem. Dowiaduję się od niej, że Rosjan - starowierów w Polsce jest 70.000. Doskonale zna język polski i orjentuje się szybko. Urodzona na Wileńszczyźnie, dzieciństwo i wczesną młodość spędziła w Rosji i na Syberji. Obecnie stale mieszka w Wilnie. Często wyjeżdża zagranicę. Biję z niej ta niezależność poglądów, swoboda ruchów, jasność sądu, jakie wyrabia stały kontakt z Zachodem. I tempo, gorące tempo startującej zawodniczki społecznej.

Stefanja Podhorska-Okotóro.



P. Jiraskowa-Peskowa w stroju ludowym.

DZIESIĘĆ NAJSŁAWNIEJSZYCH

Która kobieta jest najpiękniejsza? Odpowiedź na to pytanie wcale nie jest łatwa i jeżeli starożytność uznała sąd Parysa, to współczesność jest znacznie więcej krytyczna i wątpię, aby wszyscy bez zastrzeżeń zgodzili się na wyroki współczesnych Parysów z różnych jury konkursów piękności.

Piękność jednak podobno przemija, wobec czego taki sąd jest łatwiejszy i może odrobinę mniej ważny; ale co powiedzieć o tych, którzy chcieliby rozstrzygnąć zagadnienie o wiele głębszej wartości: która kobieta jest najgenialniejsza?

A jednak znaleźli się tacy; nawet stwierdzić trzeba, że dobrze, iż się znaleźli. Piękność jest bowiem tylko okrasą życia, mądrość chyba jego podstawą.

Nie wiem zresztą, czy tak jest napewno, bo jakże? Co rok mamy tyle konkursów na piękność, a poraz pierwszy słyszymy o emulacji mądrości! Trudno! pocieszmy się, że mądrość jest prosto rzadsza, a zwłaszcza wielkość, bo tym razem chodzi nie o przeciętny rozum i zasługę, ale o prawdziwą wielkość.

Sprawę wysunęła Ameryka. Z tamtej strony oceanu padło zagadnienie: czy żyje obecnie na kuli ziemskiej dziesięć kobiet, zasługujących na miano wielkich, i które z pomiędzy znanych odznaczyć należy tem nazwaniem?

Inicjator tego sądu wielkości, pastor John Holmes, podał dla ułatwienia orjentacji dziesięć nazwisk, które, jego zdaniem, zasługują na to wysokie odznaczenie w opinii publicznej świata. Oto wybrane: Jane Addams, Annie Besant, Katarzyna Breszko-Breszkowska, Marja Curie Skłodowska, Emma Goldman, Helen Keller, Edna St. Vincent Millay, Sarojini Naidu, Margaret Sanger, Sigrid Undset.

Jak się do tego wyboru ustosunkowała opinia publiczna amerykańska i angielska? Ciekawe. Bardzo poważne pisma przedrukowały odezwę pastora Holmesa i przedyskutowały zagadnienie. I cóż się okazało? Oto, uznając w zupełności zasługi niewątpliwe innych wymienionych, większość odpowiedzi zaznacza: na nazwę „wielkiej” zasługuje jedynie Curie Skłodowska!

Jeden z autorów, dyskutujących to zagadnienie, dodaje przytem: przyczyną tego, że między kobietami mniej może mamy wielkich jednostek, jest, iż w wielu dziedzinach, w których można się odznaczyć, kobiety są nowymi przybyszami; z drugiej jednak strony trudno zapomnieć, że kobiety oddawna miały wolny dostęp do literatury i sztuki, a jednak żadna nie zdobyła tam sławy Rafaela, Goethego lub Szekspira!

Na to ostatnie twierdzenie możnaby wprawdzie odpowiedzieć, że rozwój, nawet genjuszu, podlega jednak warunkom zewnętrznym, i że w czasach, gdy Szekspir i Goethe żyć mogli pełnem życiem szerokiego świata, jakiś może i genjusz kobiecy zwiądl sobie, mogąc wyglądać na ten świat zaledwie przez maleńkie, okratowane okienko ówczesnych obyczajów; ale nie o to chodzi. Ważniejsza jest kwestja, czy wymie-

nione przez pastora Holmesa kobiety są istotnie wszystkie wielkościami?

Zdaje się, że najlepszą odpowiedzią byłoby przeczytanie tej listy w różnych punktach świata cywilizowanego i zaobserwowanie różnicy reakcji na poszczególne nazwiska.

Kto jest Jane Addams? Jest to inicjatorka i założycielka szeregu organizacyj kobiecych w Stanach Zjednoczonych. Rezultat jej pracy obejmuje dziś nie dziesiątki i setki tysięcy, ale już miliony obywaterek zrzeszonych. Jane Addams jest kobietą żelaznej pracy, olbrzymiego talentu organizacji i bezgranicznego poświęcenia w pracy; kto jednak ją zna? Ameryka cała, tak, Anglja jeszcze, dalej jednak już tylko nieliczne jednostki, wyspecjalizowane w ruchu społecznym.

Podobnym rozgłosem „cieszą się”: Emma Goldman, przewodnicząca kobiecych związków pracy; Edna St. Vincent Millay, poetka, i Margaret Sanger, autorka poważnych dzieł socjologicznych. Są to kobiety zasłużone, ale z zakresu wielkości „kameralnych”, znanych ograniczonej, bądź co bądź, liczbie ludzi na świecie.

Natomiast już przynajmniej połowa kulturalnych obywateli świata słyszała nazwiska Annie Besant, pierwszej europejskiej rzeczniczki i pracownicy odrodzenia Indyj, Sarojini Naidu, bohaterki ostatniego ruchu hinduskiego, zastępczyni Ghandiego; Katarzyny Breszko-Breszkowskiej, „babki rewolucji rosyjskiej” (nie bolszewickiej, lecz pierwszych ruchów wolnościowych przeciw caratowi); Helen Keller, od urodzenia głuchoniemą i niewidomą, znakomitą pisarką i pedagogiczką, oraz Sigrid Undset, największej autorki skandynawskiej.

A kto *nie* słyszał o Curie-Skłodowskiej?

Otóż tu mamy rozstrzygnięcie: część tych dziesięciu nazwisk znana jest niewielkiej liczbie ludzi wykształconych i uspołecznionych, kilka — olbrzymiej większości, jedna — dosłownie wszystkim.

Gdy zaś z tym rozgłosem łączy się w dodatku i największa zasługa: pracy dla nauki, połączonej z wynalezieniem środka, uzdrawiającego jedną z najstraszniejszych chorób, które trapią ludzkość, można śmiało przyznać naszej rodaczce miano wielkiej.

To jest wyrok vox populi — vox dei, dotyczy jednak największego superlatywu; obok tego postawić można inne, również zasłużone osobistości. Opinia angielska wysuwa nazwisko Amy Johnson, francuska — pani David Neel, znakomitej podróżniczki i uczonej; ciekawa byłaby opinia polska.

Polki, które, jak to wielokrotnie stwierdzali swoi i obcy, są ogólnie wykształcześnie i więcej, niż przeciętne kobiety innych krajów, interesują się nauką, literaturą, sztuką i życiem społecznym, powinnyby także zabrać głos i wypowiedzieć się: które z głośnych dziś nazwisk kobiecych uważają za największe i najzasłużeńsze, uwzględniając zarówno rozgłos, jak i wartość jego pod różnemi względami pracy i zasługi.

N. J.



Z TEATRÓW

TEATR MAŁY.

„Pierwsza pani Frazer“ — komedia w 5 aktach Johna Ervine'a. Przekład Florjana Sobieniowskiego. Reżyserja Gustawa Buszyńskiego. Dekoracje Karola Frycza.

Jedna z najmiłszych angielskich komedyj, która wprowadzie nie kusi się o paradoks, ale ma to, czego zwykle brak trochę kanciastemu w formach teatrowi angielskiemu: wdzięk.

Temat, zdawałoby się, najpospolitszy w świecie — walka dwu kobiet o jednego mężczyznę — nie wyczerpuje treści utworu. Bowiem po osi tego tematu autor dokonał niesłychanie ciekawego przekroju paru charakterów, których starcie samo przez się otwiera dla widza głębokie perspektywy psychologiczne.

Dla publiczności polskiej sztuka ta ma podwójny smak: środowisko jest w niej angielskie — charaktery ogólnoludzkie. W atmosferze mieszczańskiego dosytu i wiekami niemal uświęconego systemu form towarzyskich, gdzie wypicie popołudniowej herbaty, kwestja spożycia obiadu, lub wyprawy na połów ryb, usuwa na drugi plan istotne sprawy życiowe — w tej nieco dusznej atmosferze, przypominającej „Sagę rodu Forsytów“ w minjaturze — układa się około „pierwszej pani Frazer“ łamigłówka ludzkich klocków, gra towarzyska, w której starsza, taktowna i sprytna kobieta dopomaga skutecznie losowi, aby zwyciężyć młodą, brutalną i... ograniczoną.

Oryginalność i świeżość sztuki polega na tem, że jej rdzeniem jest właściwie romans ludzi starszych: czterdziestokilkoletniej kobiety, matki dorosłych synów, i dwóch panów w wieku, który nawet dla nich przestaje być niebezpieczny. Jest to pora, kiedy mężczyzna pójdzie zawsze za tą kobietą, która mu zapewni największą wygodę. Wie o tem dobrze pierwsza pani Frazer, żona, opuszczona niegdyś przez męża dla młodej, ład-



Marja Przybyłko-Potocka jako „Pierwsza Pani Frazer“.

niutkiej, bezcelnej dziewczyny. Ale podczas gdy jej następczyni traktuje swoje małżeństwo jedynie z punktu widzenia kariery życiowej, jako odskocznię w świat nowych zdobyczy, pierwsza pani Frazer zamknęła we wspomnieniu swego byłego męża cały sentyment minionej młodości. Z godnością i taktem kobiety dobrze wychowanej i doskonale opanowanej znosi swoje osamotnienie, zlagodzone miłością synów i adoracją starego przyjaciela, który marzy o tem, żeby mu wolno było zostać konkurentem.

Ale pierwsza pani Frazer nawet w myślach jest wierna mężowi. I gdy przyjdzie moment właściwy, będzie o niego walczyła, jak tygrysyca, nie pogardzi nawet szantażem, aby go wyrwać z sidła rywalki. A kiedy jest u szczytu zwycięstwa, okazuje się, że gra nie warta świeczki. Pan Frazer — to typowy ramol i sybaryta, który w swem wyzwoleniu od męczącej „drugiej“ małżonki widzi przedewszystkiem egoistyczne możliwości: podróży naokoło świata, oszczędności w wydatkach na stroje, wreszcie zamieszkania na wsi. Osoba pierwszej żony, do której skolatany statek ludzki wraca, jak do przystani, — w tym programie życiowym figuruje na ostatnim planie.

Na to pierwsza pani Frazer nigdy się nie zgodzi. Woli dalszą samotność. Mogła się wobec siebie samej zniżyć do szantażu, ale nie zrezygnuje nigdy z pierwszego miejsca w sercu ukochanego. Godność kobieca zwyciężyła, ale serce kobiety jest śmiertelnie zranione. Znajdzie się jednak balsam na tę ranę. W chwilę po rozstaniu dwojga byłych i niedoszłych małżonków przynoszą naszyjnik z perel od jubilera.

— Co to znaczy? — zapytuje w zdumieniu syn pani Frazer.

— To dla mnie — odpowiada pani Frazer, z uśmiechem triumfu wkładając perły na szyję. — Twój ojciec zaczyna się starać o moją rękę.

Jest to zatem pedagogiczna sztuka dla mężczyzn, nauka pogładowa, jak powinni zamaskować swój egoizm, jeżeli chcą naprawdę zdobyć kobietę...

Nieporównaną odtwórczynią „pierwszej pani Frazer“ była Przybyłko-Potocka. Wydobyła z tej postaci cały czar, jaki może mieć siwowłosa kobieta o niewygasłym sercu; włożyła w nią cały zasób finezji, ujawniającej się w każdym geście, w każdym wypowiedzianem i niewypowiedzianem słowie, a przedewszystkiem w uśmiechu. Uśmiech Przybyłko-Potockiej zamykał w sobie mądrość i urok dojrzałej kobiecości.

Bardzo angielskim egoistą był Stanisławski. Może mu brakowało jednak tego wabika, bez którego niezupełnie zrozumiała staje się uporczywa miłość pani Frazer.

Fritsche w roli zakochanego amatora rybołówstwa, któremu trudno jest wybrać pomiędzy wędką a kobietą, umiał wywołać współczucie szczerem i prostym ujęciem typu. Zimińska stworzyła z Elżbietki postać żywą i oryginalną.

Przekład Sobieniowskiego jest nowym krokiem na drodze zdobywania ekwiwalentów językowych i konwersacyjnych. Może to czysto polskie „psiakrew“ mniej było na miejscu w komedji angielskiej, ale naogół dialog był krwisty, jak angielski rostbeaf.

S. P. O.

TEATR JASKÓŁKA.

„Pinokio“ — wg. Collodiego, w opracowaniu scenicznym Aleksandra Maliszewskiego i Ludwika Czerwińskiej. Ilustracja muzyczna Władysława Surzyńskiego.

„Nawpół śmieszna, nawpół rzewna

Bajka o chłopcyku z drewna“ — jest jednym z najbar dziej uroczych i malowniczych widowisk dla dzieci i dla dorosłych, które wzbudza jednak szereg zastrzeżeń natury pedagogicznej.

Chłopczyk z drewna uczy się nie od szkoły, ale od życia, prawda, że na własnej skórze, ale o ileż ta nauka jest bezpośredniejsza i ciekawsza od martwego „a, b, c“, które mu (do tego wierszem) zaleca jego przygodny papa! Pinokio — to bliski



Ludwika Śniadecka w roli Pinokia.

krewny bohaterów Londona, może wzbudzić raczej żądzę przygód, drzemającą w każdej bogatszej naturze dziecinnej, niż przekonanie o wartości szkoły. Pewne poszczególne momenty, np. groźba samobójstwa („nie chcę być stołową nogą, raczej się zabiję!“), powieszenie Pinokia, są za silne dla wyobraźni dziecinnej.

Całość widowiska jest utrzymana na wysokim poziomie artystycznym. Dekoracje i kostjomy pomysłowe i oryginalne. Ilustracja muzyczna pełna poetycznego nastroju.

Odtwórczyni roli tytułowej, p. Ludwika Śniadecka, z postaci Pinokia stworzyła nawskroś oryginalną kreację artystyczną. Zespół dziecinny w scenie z teatrem marionetek wzbudzał podziw obyciem ze sceną. Wreszcie na specjalne wyróżnienie zasługuje konferensjerka pana Ładosza, dowcipna, zrozumiała dla dzieci i naprawdę pedagogiczna.

S. P. O.

Z MUZYKI

Koncert poświęcony twórczości ś. p. Leokadii Wojciechowskiej.

W sali kameralnej Filharmonji odbył się dn. 31 maja r. b. koncert, poświęcony utworom niedawno zmarłej kompozytorki polskiej ś. p. Leokadii z Myszyńskich Wojciechowskiej.

W koncercie tym, urządzonym staraniem Polskiego Stowarzyszenia Muzyków-Pedagogów, którego zmarła była nader czynnym członkiem, brali udział: p. Lucyna Robowska, znana pianistka, powszechnie znana, jako propagatorka utworów kompozytorów polskich, p. Jadwiga Matyasiakówna, skrzypaczka, p. Kazimierz Blaschke, wiolonczelista; p. Cezary Ko-

walski i p. Halina Mieczkowska, studjujący u prof. Heintzego, reprezentowali śpiew. Słowo wstępne o działalności ś. p. Wojciechowskiej, jako kompozytorki i obywatelki, wygłosiła ze swadą p. Helena Dorabalska.

Licznie zebrani słuchacze mogli zapoznać się tylko z drobną częścią bogatej spuścizny kompozytorki, która za życia unikając rozgłosu i stąd była mało znana szerszej publiczności. Natomiast utwory jej w gronie zawodowych muzyków cieszyły się dużym uznaniem, czego dowodem 20 nagród i odznaczeń, otrzymanych na konkursach.

Wszystkich kompozycji ś. p. Wojciechowskiej pozostało około stu, z których tylko 55 ukazało się w druku. Są to kompozycje przeważnie na fortepian solo, do śpiewu, na skrzypce, wiolonczelę, chóry, orkiestrę.

Urodzona w 1858 r. w Łowiczu, ś. p. Wojciechowska już od dzieciństwa zdradzała wielkie zamiłowanie do muzyki, kształcąc się początkowo pod kierunkiem swego ojca, nauczyciela muzyki, następnie w Instytucie Muzycznym w Warszawie u prof. Strobla; po ukończeniu Instytutu pogłębiała swą wiedzę u Wład. Żeleńskiego i Zyg. Noskowskiego.

Kompozycje te noszą cechę czysto swojską, melodia snuje się z łatwością i przesiąknięta jest motywami naszych pieśni ludowych, przy pięknej harmonizacji, niepozbawionej swoistej wdzięku.

Zasługą Stowarzyszenia Muzyków-Pedagogów jest wprowadzenie na estradę mało znanych ogółowi a wartościowych utworów; dobrze byłoby umieszczać je również w programach uczelni muzycznych, jako rzeczy wartościowe i swojskie, przede wszystkim liczne pieśni, a na fortepian etiudy, preludja, polonez, krakowiaki, mazurki, kujawiaki.

Bezwątpienia wiele z powyższych utworów mogłoby zastąpić oklepane i mniej wartościowe kompozycje obecne, które mi karmi się do przesyty nasza młodzież.

G. Tolwiński.

KONGRES KOBIEC SŁOWIAŃSKICH

Ogólnie biorąc, przebieg Kongresu można podzielić na trzy części: stronę reprezentacyjną i oficjalną, obejmującą posiedzenia plenarne, prace w komisjach statutowej, programowej i prasowej, gdzie po szczegółowych dyskusjach ustalono wytyczne i opracowano program działalności, dzieląc go na maksymalny (ogólny) i minimalny (na najbliższą chwilę); wreszcie — strona towarzyska, a więc: zebrania, zbliżające delegatki w swobodnej i przyjaznej rozmowie na temat zadań Zjednoczenia, wieczór w teatrze, zwiedzanie miasta, zapoznające z jego zabytkami historycznymi i instytucjami społecznymi, przyjęcie u p. ministrowej Zaleskiej i wieczornica-koncert. Pani Prezydentowa Mościcka wobec swej choroby nie mogła przyjąć delegatek Zjazdu, nadesłała im jednak uprzejmie swoją lożę w teatrach do rozporządzenia.

Uroczyste otwarcie Kongresu nastąpiło w d. 10 czerwca o godz. 10.50 w sali kasyna garnizonowego.

Otworzyła kongres przewodnicząca Słowiańskiego Zjednoczenia Kobiet w Polsce sen. H. Hubicka, witając przybyłych i prosząc do przyjdum pp. Smolarową-Capkową i Gollową z Czechosłowacji, Prodanovicową z Jugosławji, pos. Jaworską i p. Szebko, oraz na sekretarkę p. Grudzińską.

Po przemówieniach powitalnych od stowarzyszeń i prasy kobiecej, wśród których nie brakło i powitania od „Bluszczu“, wygłoszonego przez redaktorkę Stefanję Podhorską-Okołów, z przedstawicielek oficjalnych zagranicznych przemawiały pp.: ministrowa Robeff, w imieniu Związku Kobiet Bułgarskich — Bog. Smolarowa-Capkowa w imieniu „Jednoty Slovenskich Zen“, Prodanovic w imieniu Jugosłowiańskich Sester. Jako przedsta-

wicielki nieoficjalne,abrały głos: p. Pimonowa w imieniu Rosjanek staroobrzędowych i p. Bogusławska w imieniu Ukrainek z Wołynia.

Następnie p. Prodanovic odczytała depesze od stowarzyszeń Jugosławji, które na Zjazd przybyć nie mogły, poczem p. Jiraskowa-Peskova, znakomita poetka czeska, odczytała swój wiersz o braterstwie narodów słowiańskich.

W drugim dniu Zjazdu Centrale stowarzyszeń krajowych złożyły sprawozdania z działalności w ciągu roku ub.

Następnie przystąpiono do referatów, zgłoszonych przez koła czechosłowackie i polskie.

P. Gollowa (Czechosłowacja) omówiła „Wszechsłowiańska działalność oświatową“, p. Masnerowa (Czechosłowacja) nakreśliła zarys programu „Wychowania młodzieży dla celów wszechsłowiańskiego porozumienia“.

Naukowy referat dr. B. Stelmachowskiej z Poznania o Słowianach północnych, którzy przed wiekami padli pod naporem Germanji — referat, uwydatniający słowiańskość Pomorza Szczecińskiego i Rugji, wywołał szczególne zainteresowanie.

P. Braunowa z Krakowa w obszernym, na podstawach filozoficznych opracowanym referacie: „O wspólną ideologję słowiańską“, nakreśliła obraz wartości duchowych Słowian, kończąc apoteozą myśli Hoene-Wrońskiego.

P. Z. Zaleska treściwie nakreśliła „zadania gospodarcze zjednoczenia“, wskazując, jaką potęgą ekonomiczną stałby się blok gospodarczy państw słowiańskich, złączonych unją celną.

Obrazy prowadzone były w języku polskim; każda z delegatek zagranicznych przemawiała w swoim języku.

W d. 12 czerwca na posiedzeniu plenarnem w imieniu Wydziału kobiecego Polskiego Radja pani Ankiewiczowa zgłosiła gotowość propagowania Idei zjednoczenia kobiet słowiańskich. Następnie w imieniu Związku Ukrainek we Lwowie (obejmującego 65 filij i kilkadziesiąt kół wiejskich), które w 1954 r. obchodzić będzie 50-lecie istnienia, przemówiła p. Irena Makaruskówna, dając wyraz radości z powstania Wszechsłowiańskiej organizacji kobiecej. Na zebranie zjadła też przyjechała przedstawicielka Ukrainek z Wołynia p. Masłowa.

Kongres uchwalił bardzo liczne wnioski, z pomiędzy których wyjmujemy następujące:

Prowadzić przez prasę, słowo żywe i obrazy (kino) propagandę kultury duchowej i materialnej Słowiańszczyzny.

Prowadzić wychowanie młodzieży w duchu Idei Słowiańskiej przez odpowiednie wykłady z dziedziny historii i geogra-

fji oraz przez kolonje wakacyjną w krajach słowiańskich i odpowiednio oddziaływanie na nauczycielstwo.

Podkreślać działalność kobiet słowiańskich na wszystkich polach, prowadzić wspólną walkę o równouprawnienie kobiet. Przed wszelkimi Kongresami międzynarodowymi porozumiewać się celem wspólnego występowania grupy kobiet słowiańskich na terenie międzynarodowym.

Prowadzić propagandę zdobnictwa ludowego i popieranie go przez wystawy i wymianę handlową.

Następnie prowadzić propagandę współpracy gospodarczej i ułatwienia wymiany produkcji narodów słowiańskich.

Co się tyczy najbliższych zadań, postanowiono między innymi, wobec naznaczenia miejsca obrad następnego kongresu w Belgradzie, wziąć sobie za zadanie dokładne zapoznanie kół Zjednoczenia z kulturą materialną i duchową Jugosławji.

Urządzać pod wspólną datą we wszystkich krajach Dzień Wszechsłowiański, koncerty i opery, wieczory pieśni słowiańskich, wieczory literackie, wieczornice z tańcami ludowymi w strojach ludowych.

Następnie ustalić wspólną odznakę słowiańską.

Dla utrzymywania stałego kontaktu pomiędzy krajowymi Kółkami Zjednoczenia postanowiono wydawać Biuletyn prasowy.

Kongres uchwalił następnie wysłać depeszę do Królowej Bułgarskiej i Jugosłowiańskiej oraz do p. Alicji Massarykówny i Prezydentowej Mościckiej, pozatem depeszę do przedstawicieli organizacji kobiecych Bułgarji i Chorwacji, na Łużycach i Słowacyźnie, które nie mogły wziąć udziału w Zjeździe.

Wybory do Zarządu Głównego wprowadziły na przewodniczącą sen. H. Hubicką, wiceprzewodniczącą p. Smolarową-Capkową z Czechosłowacji; miejsce drugiej wiceprzewodniczącej zastrzeżono dla przedstawicielki Jugosławji, pozatem z ramienia Polski: pp. Szebeko, pos. Jaworska i Z. Zaleska; pozostały do rozporządzenia dla Jugosławji 5 miejsc, dla Czechosłowacji 3 i Polski 2.

Długo niemilknięcymi oklaskami przyjął Kongres wniosek o nadaniu godności honorowej przewodniczącej p. Smolarowej-Capkowej, niezwykle zasłużonej dla organizacji Zjednoczenia. Pani Smolarowa, przyjmując godność i dziękując za wyrażone uznanie, postawiła wniosek o nadanie członkostwa honorowego również goiliwej propagatorce Idei Zjednoczenia — p. Laudyn-Chrzanowskiej z Zakopanego.



Kongres Zjednoczenia Kobiet Słowiańskich.

KOBIETA W ŚWIECIE I W DOMU



P. Mayer.

P. Bogen.

P. Preis.

NAJLEPSZE FECHMISTRZYNI.

Na międzynarodowych zawodach szermierczych w Wiedniu pierwsze miejsce, mistrzyni Europy w szpadzie, uzyskała Niemka, p. Helena Mayer, drugie węgierka, p. Bogen, trzecie austriaczka, p. Preis.

W RODZINIE WOJSKOWEJ.

Z prawdziwą przyjemnością słucha się co rok obrad walnego Zjazdu „Rodziny Wojskowej”. Nowy, stale coraz większy dorobek pracy, stale powiększanie się i zacieśnianie węzłów rodziny naszej armji, dobre pomysły, doskonała organizacja, wszystko to idzie całym rozmachem.

W małych miasteczkach, w zagubionych kątach kresowych otwiera się szkoły, świetlice, przedszkola, idzie praca samokształceniowa i kulturalna na szeroką skalę. Stałe wciąganie do pracy żon podoficerów wytwarza ściśle węzły między wszystkimi rodzinami wojskowych, a opieka nad dziećmi i młodzieżą zachodzi mocną działalnością w przyszłość.

Zjazd był, jak corocznie, liczny i serdecznie witany przez przedstawicieli sfer wojskowych, stowarzyszenia i prasę.

Oba dni zjazdowe przeszły bardzo pracowicie; po odczytaniu i zatwierdzeniu sprawozdania, uczestniczki zwiedziły gmach Sejmu, w którym odbyły się referaty senatorki Hubickiej, posłanki Berbeckiej i pani Kollątajowej, poczem powrócono do Kasyna Garnizonowego na dyskusję. Wieczorem chwila zasłużonego wytchnienia, przemiła herbátka towarzyska u wiceprzewodniczącej zarządu naczelnego, p. ministrowej Jadwigi Beckowej.

Drugi dzień to prace w komisjach, referaty p. Mandukowej i kapitana Zarychty i wybory do zarządu naczelnego, w którego skład weszły panie: Marja Boldowa, Milly Burhardtowa, Jadwiga Fabrycowa, Hajkowiczowa, Janina Iwanowska, Janina Jacynikowa, Józefa Jakubowska, Janina Mareschowa, Janina Miedzińska, Jadwiga Próchnicka, Irena Przyjałkowska, Rogalska, Konstancja Rzączyńska, Halina Soldenhoffowa i Dora Wisznicka.

Żegnamy Zjazd do przyszłorocznych owoców pracy.

ZJAZD UNJI KOBIET KATOLICKICH.

W Salach Resursy Obywatelskiej odbył się zjazd Międzynarodowej Unji Katolickich Związków Kobietych. Po parodniowych obradach wewnętrznych, poświęcono jeden dzień obradom publicznym.

Na uroczystość przybył J. E. ks. Kardynał Kakowski, który rozpoczął zebranie przemówieniem, poczem powitała gości przewodnicząca zjazdu hr. Władysława Zamojska. Wygłosili dalej przemówienia i referaty: ks. Kuwaldt z Holandji, przewodnicząca Unji, pani Steenbergh Engeringh, posłanka do Reichstagu pani Weber, przewodnicząca Ligi Młodych we Francji, p. de Rostu, hr. Vilard, przewodnicząca Ligi Katolickich robotnic w Belgji, pani Baers, delegatka Włoch, p. Giay Liawray, p. de Hemptinne, oraz delegatka Ligi młodych w Meksyku, która do głębi wzruszyła audytorjum opowieścią o niedawnych prześladowaniach religijnych w Meksyku i o bohaterskiej postawie młodzieńców katolickich w tym okresie.

Na zjazd przybył również J. E. nuncjusz apostolski ks. Marmaggi, który zamknął obrady serdecznym przemówieniem, wspominając wielkie działaczki, kobiety polskie.

GAZ! GAZ! NAKŁADAĆ MASKI!

W d. 6 czerwca w apartamentach na Zamku odbyło się, pod protektoratem i przewodnictwem pani Prezydentowej Mościckiej, walne zebranie sprawozdawcze Koła Pań przy Komitecie Budowy Cywilnej Szkoły Obrony Przeciwgazowej.

Sprawozdanie Zarządu i świeżo utworzonych Kół Prowincjonalnych wykazało żywą działalność tej młodej, ale energicznej i z zapalem prowadzonej placówki kobiecej.

Obecnie Koło rozporządza 80.000 złotych, które całkowicie została przekazane na budowę gmachu Szkoły. Fundamenty jej, wraz z pomieszczeniami na instalacje w suterynach, już są całkowicie gotowe, mury wyszły nad ziemię. W ciągu lata trzeba je koniecznie wyciągnąć pod dach i pokryć.

Jak to wygląda w cyfrach?

Ogólny kosztorys wynosi 2.095.000 zł. To, co zrobiono dotychczas, kosztowało 471.802 zł. Na wyciągnięcie murów i pokrycie dachem potrzeba 450.000 zł.

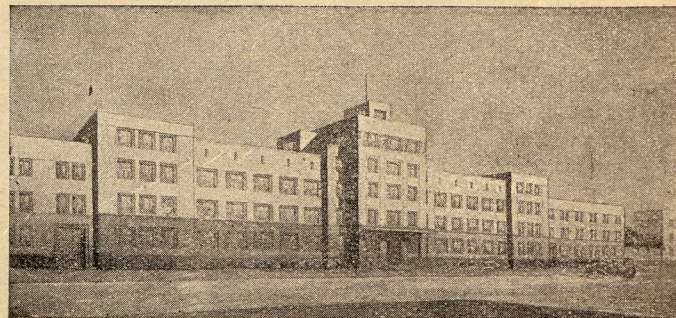
Na ten cel Koła Wojewódzkie i Zarząd Główny

L. O. P. P. przenaczył	275.000 zł.
Koło Pań ma	80.000 zł.
razem	555.000 zł.
brakuje	100.000 zł.

Ta luka budżetowa może być wypełniona jedynie przez składki członkowskie i dobrowolne, choćby najdrobniejsze ofiary.

Każda z pań, wyjeżdżająca na lato, zapytuje sama siebie: — Czy nie zapomniałam niczego? czy zostawiłam wszystko w porządku?

— Nie, droga pani! Nie wszystko jest w porządku. Pani nie zapisała się jeszcze do „Koła Pań”, pani nie spełniła swego obowiązku obywatelskiego. Trzeba to zrobić zaraz. Składka wynosi tylko pięć złotych rocznie i wnieść ją można każdej chwili do biura Koła: Chmielna 27, tel. 54-75.



Tak będzie wyglądał gmach Cywilnej Szkoły Obrony Przeciwgazowej.

PREZYDENTOWA W CIĄGU 10 DNI.

Na kilka dni przed złożeniem swego urzędu, dotychczasowy Prezydent Republiki Francuskiej, p. Gaston Doumergue... ożenił się. Ceremonja ślubu odbyła się bardzo skromnie, w obecności dwóch świadków, i paru najbliższych osób w pałacu Eliżejskim. Pani Graves, obecna pani Doumergue, przeszła już dawno wiek balzakowski, ma 55 lat, jest profesorem liceum żeńskiego i ma trzy córki z pierwszego małżeństwa.

„Państwo młodzi“ zamieszkają w majątku małżonki, w okolicach Tuluzy.

Niepospolita musi to być kobieta, gdyż „vieux garçon“ prezydent był w czasie swej prezydentury formalnie zasypywany propozycjami małżeństwa. Były tam oferty niezwykle ponętne z punktu widzenia rodowego, finansów, urody i t. p. Wszystkie te propozycje pan Doumergue stale odrzucał, dochowując wierności narzeczonej, którą obecnie zaślubił.

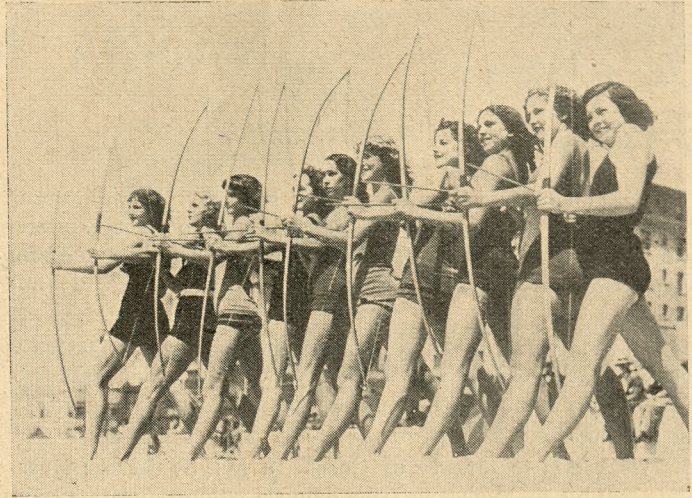
KOBIECA AKADEMJA.

Francuzkom znudziło się nareszcie aspirować beznadziejnie do akademji: postanowiły założyć sobie własną. W połowie zeszłego miesiąca odbyło się posiedzenie organizacyjne nowej instytucji literackiej kobiecej. Fundatorką jej jest znana działaczka, pani Marja de Wailly, przewodniczącą pani Marion Gilbert. Kobięca Akademia Literatury postawiła sobie, jako główny cel, poznawanie utworów literackich, oraz wybór i nagradzanie dzieł o wysokiej wartości. W tym roku przyznana zostanie pierwsza nagroda „grand prix Wailly“, ofiarowana przez założycielkę Akademji.

KOBIETA BEZ OJCZYZNY.

Do jakich dziwnych sytuacji doprowadza nieuporządkowanie prawa narodowości mężatek, okazało się ostatnio w kilku sprawach: doszło do tego, że albo nikt wogóle nie może rozstrzygać, jakie kobiecie należne jest obywatelstwo, albo nie ma go ona wcale. Pisma angielskie podają obecnie taki przykład, który byłby zabawny, gdyby nie był tak smutny dla bohaterki incydentu.

Obywatelka angielska, Miss Mary Barton, wyjechała do Stanów Zjednoczonych, mając lat czternaście, i wyszła tam za mąż za obywatela amerykańskiego. Straciła więc przynależność do kraju macierzystego. Po kilku latach jednak rozwiodła się z mężem i postanowiła wrócić do rodziców do Anglii. Z chwilą jednak, gdy zgłosiła się o pasport, odpowiedziano jej, że obywatelką Stanów już nie jest. Jednocześnie jednak nie ma też i obywatelstwa angielskiego. Ostatecznie ambasada angielska zgodziła się na przyjazd jej do Anglii, jako osoby „urodzonej w Imperjum Brytyjskiem, obecnie bez przynależności państwowej“!



Strzelanie zbiorowe.

NOWOCZESNE AMAZONKI.

W Long Beach odbyły się w tych dniach konkursy strzelania z łuku. Oryginalną stroną tych zawodów były kostjумы nie sportowe, lecz kąpielowe, które przywdziały zawodniczki. Popisy odbywały się zarówno poszczególnie, jak w grupach zbiorowych.

Z UBIEGŁEGO TYGODNIA.

W polityce niewiele mamy satyryków, a mieliby tam cudowne pole pracy. Ironja faktów jest często bolesna, ale czasem wprost zabawna. Taką bolesno-ironiczną nutą brzmią obecne stosunki włoskie, bo oto gdy niespełna rok temu rząd włoski dążył do przywrócenia państwa kościelnego i przeprowadził owocnie swoją politykę, dziś faszyzm prześladowuje związki katolickie i wywołuje ostry zatarg z Watykanem.

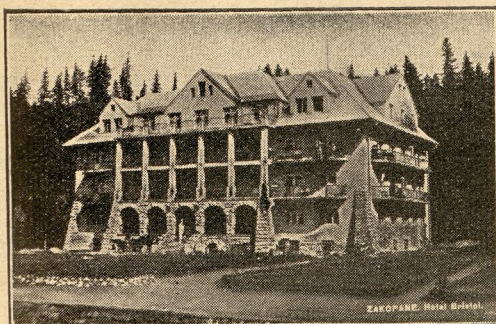
Poco było w takim razie prowadzić akcję porozumienia?

Rezultat jest ten, że kiedy Watykan był tylko państwem moralnym, stosunki były poprawne, a gdy stał się, przy pełnym przecież poparciu Kwirynału, państwem faktycznym, rzuca mu się kamienie; gdzie logika?

Wizyta niemiecka w Chequers była zabawniejsza: Niemcy pojechali z nadzieją zyskania moratorium na swoje długi, wrócili z zapewnieniami „szczerzej życzliwości“, o pieniądzech ani slychu!

O tych pieniądzech zresztą, jak wiadomo, zadecyduje Ameryka, a ta (znów ironja!) powiada: dobrze, moje dziatki, długów część może wam i daruję, ale wpierv zobaczę, co będzie na konferencji rozbrojeniowej, bo wcale nie myślę finansować waszych pancerników, oszczędzając na moich własnych.

Ano, można i tak.



ZAKOPANE

Perła uzdrowisk polskich—daje emocjonujące widoki Tatr, tężyznę ducha i ciała, spokój, wypoczynek i zdrowie — a więc jedźmy wszyscy do Zakopanego.

BRISTOL

Najtańszy luksusowy reprezentacyjny hotel-pensjonat w Zakopanem — daje wygody ogniska domowego, a w sezonach głównych rozrywki towarzyskie i zabawę. W okresach wiosennym i jesiennym ceny niższe od 30—50%. Tel. 315.

NASZA MÓWNICA

My i literatura.

Niejednokrotnie Szanowne Panie Publicystki z „Bluszczu“ zahaczały, że się tak wyrażę, nas, czytelniczki, o słabe zainteresowanie się literaturą. Udowodniły nam obniżenie się poziomu czytelnictwa, przez sprowadzenie wydatku na książkę do minimum.

Dowiodły, że przed wojną kobiety jednakże trzymały prym w znajomości najnowszych wydawnictw i one przeważnie pobudzały panów stworzenia do zainteresowania się tą, czy inną książką.

Wszystkie te zarzuty są słuszne, a byłyby jeszcze słuszniejsze, gdyby nasze obecne życie dało się wtłoczyć w ramy życia przedwojennego.

My, kobiety dzisiejsze, przedewszystkiem odczuwamy brak czasu.

Zajęte w większości zawodowo, przemęczone życiem wogóle, nie znajdujemy w sobie impulsu do zgłębiania rzeczy poważnych. Wplecione w walkę o byt, zmuszone jesteśmy dobywać z siebie maksimum energii i taktiki, tak, że na piękne odskocznie na łono literatury brak sił moralnych. Udział nasz w życiu społecznym, politycznym, naukowym, tak całkowicie nas pochłania, że próżno pytałabym pani-posłanki, czy już przeczytała „Kłos panny“, czy „Świat kobiecy“, choć są to rzeczy warte czytania.

W czasach, kiedy służąca stała się luksusem, a skromne niewolnice domowe, zwane obecnie: „paniami domu“, cudotwórczynie równowagi budżetów domowych, od 6-tej rano do 10-tej wieczorem zajęte są utrzymywaniem i podsycaniem ogniska domowego, czy one może mają podtrzymywać ruch w literaturze?

Zresztą chodzi przecież o wypoczynek po pracy, a ten da nam nie mądra książka, ale kino, flirt, teatr, sport...

Jeżeli zaś wziąć przedwojenną literaturę, to rzeczywiście była to skarbnica prawdziwego piękna i pokarmu duchowego. I że w dniach wojny zdałyśmy egzamin z dojrzałości narodowej, to zasługa Żeromskiego i Sienkiewicza, Konopnickiej i Wyspiańskiego. Budowali nasze dusze na tamte czasy, na wysoką miarę umiłowania ideałów.

A dzisiaj? Nie spotkałam się z książką, z której pragnęłabym przepisywać rozdziały całe, niby ewangelję dla siebie.

Ale niech się tylko ukazą pamiętniki wojenne, czy ilustracje, zaraz nami zatarga wspomnienie wielkich przeżyć i nastawień, i człowiek dzisiejszy czuje się, jak rozładowany akumulator, a „nabić“ go na wyższy ton dnia dzisiejszego obecna literatura nie jest w możności.

Kryzys ducha? Może.

Zmaterjalizowane jesteście ze szczętem.

Odwyzczailiśmy się od kupowania książek, i zresztą, nie mieszczą się one, w ramach w pocie czoła ułożonego budżetu.

Uważam, że nasze zapotrzebowanie kulturalne przesunęło się na gazety, tygodniki, radio, które w dużej mierze zastępują dawniejszy pęd do czytania rzeczy beletrystycznych, dowodem czego wzmożenie wydawnictw tygodników czysto kobiecych i zawodowych. Nie mogę się zgodzić, że wstrzemięźliwość w kupowaniu książek obniżyła nasz poziom kulturalny, bo, obserwując życie, widzi się, jak potrzeby człowieka zwiększyły się pod każdym względem, i już nie literatura, a życie samo wznosi go ponad przeciętność.

Wiadomo ogólnie, że jesteśmy w epoce przelomowej na każdym odcinku życia, i dlatego typ naszych zainteresowań w literaturze i nastawień na konkretny ton jeszcze się nie skryształizował.

Łodzianka.

Teorja względności.

Teorja względności, szeroko omawiana przez Einsteina, jest chyba czynnikiem, dającym się zastosować we wszelkich dziedzinach życia.

Potwierdzenie znajdujemy w artykułach „Naszej Mównicy“ na temat: „Ile wydawać“.

Pani S. Cz. daje „konkretny (!) budżet“ rodziny, złożonej niewiadomo z ilu osób, za 300 zł. miesięcznie; przeznaczając w tem nawet 10 zł. na ubogich i nieprzewidziane wypadki; a rodzina, której wszelkie potrzeby zostały pokryte podług podanego schematu, powinna się czuć „zawsze wesoła i zadowolona“.

Szkoda tylko, że jest to budżet optymistyczny, a nierealny, gdyż po konkretnem zsumowaniu wydatków 300 zł. = 380 zł., skąd się bierze + 80 zł., kiedy zaciąganie długów bez możności pokrycia „byłoby nieuczciwością“? O tem się nie wspomina.

Mniej optymistycznie zapatruje się p. Irena C., układa bowiem budżet jednej osoby za 300 zł. miesięcznie, twierdząc, że utrzymuje się „chyba bez zbytków“.

Kto ma słuszość?

Odpowiedź niechaj nam da teorja względności, inaczej skala wymagań.

A teraz znak zapytania: co nazwać wymaganiami?

Biorąc osobę samotną, pytam: czy nadmiernem wymaganiem człowieka o średnim poziomie kultury, po 10 — 12 latach pracy, będzie dążenie do mieszkania w oddzielnym pokoju, zjedzenia codziennie obiadu, chodzenia w czystej bieliźnie, niepodartej sukni i obuwia; czy rozrzutnością będzie przeczytanie codziennie gazety, prenumerowanie książki, czasami (2 — 3 razy na miesiąc) pójście do teatru, kina, lub na koncert, chociażby na najtańsze miejsce; raz na 5 lata wyjazd dla poratowania zdrowia, potrzebnego do pracy?

Jeżeli wyżej wymienione wymagania są zbyt wygórowane, co skreślić?

Obecna zniżka 15% wytrąciła z równowagi minimalny budżet wielu urzędników, szczególnie mniej płatnych, i o takim budżecie mówić właśnie należy, pamiętając, że można rzec się deseru, lecz nie można zrezygnować z obiadu.

Urzędnicy etatowi biorą 254 zł., 250 zł., a są nieetatowi, którzy biorą i mniej.

Jak ułożyć budżet jednej osoby, mieszkającej, jako sublokator, np. za 254 zł., bez pomocy materialnej osób trzecich?

Jakich wymagań się rzec, co wykreślić, aby zachować równowagę budżetu?

Poważna kwestja wobec kryzysu gospodarczego, kiedy niewolno załamywać ręk, lecz radzić.

Pani Redaktorka „Bluszczu“ w artykule: „Kobieta, a kryzys gospodarczy“ zaznaczyła, że konieczne jest znalezienie nowych źródeł dochodu, obiecując szereg artykułów z tej dziedziny, na które z wielkiem zainteresowaniem oczekujemy. Wprawdzie p. Irena C., pisze o niewyzyskanych źródłach dochodu w Polsce, jak jedwabnictwo, zapomina jednak, że klimat nasz jest nieodpowiedni dla morwy*) (chyba w południowej części kraju), a więc i dla rozwoju jedwabnictwa, a w miastach hodowla mogłaby się odbywać chyba w doniczkach.

Wobec kryzysu rada nie jest łatwa, lecz szukajmy nowych, niepoznanych dróg.

Urzędniczka — Warszawa.

*) Myli się Sz. Autorka, drzewo morwowe rośnie doskonale w całej Polsce. W Warszawie np. były wielkie, b. piękne drzewa morwowe na terenach dzisiejszego Szpitala Dz. Jezus.

(Przyp. Red.).

NIE MAM CO NA SIEBIE WŁOŻYĆ

Ze wszystkich trosk i bolączek doli kobiecej jest to bodaj troska najpospolitsza.

Wpatrzona w głębię otwartej szafy, w której barwy walczą ze sobą o palmę pierwszeństwa, a ramiączek, obwieszonych przeróżnych kształtów szatkami, doliczyć się trudno — przysłowiowa „Piękna Pani“ jest szczerze zatroskana i doprawdy godna współczucia. *Nie mieć co włożyć* — to, proszę mi wierzyć, sytuacja nie do pozazdroszczenia. Może ona zaćmić blask długo oczekiwanej wiosennej pogody i radość w obliczu pierwszego upalnego dnia letniego, który miał nam otworzyć nową serję plein'air'owych rozkoszy.

Ludzie, stojący poza kręgiem trosk tego rodzaju — kobiety, doskonale i w porę przygotowane do sezonowej kampanji, mężczyźni, obnoszący swe niezmiennie garnitury z sezonu na sezon — wzruszą ramionami z politowaniem, a wykwiintniej wychowani wstrzymają się od tego przejawu uczuć negatywnych, wykreślonego z rubryk dobrego wychowania, i przejdą do porządku dziennego nad maleńką (w ich pojęciu) i nieżywością troską, której być nie powinno.

Zgodzimy się wszystkie z tem, że nie powinna nam ona psuć ani wiosennych, ani letnich nastroi, że wykreślić ją należy zarówno z codziennego pracowitego miejskiego żywota, jak i ze słodkiego dolce farniente letnich wywczasów.

A jednak bywa inaczej — bywa, jak zresztą często w życiu, nie tak, jak być *powinno*, ale tak, jak być *nie powinno*.

Bo oto w pierwszy dzień upalny okazuje się, że nie mamy żadnej sukni z krótkimi rękawami, albo bez rękawów, a jeżeli znajdzie się właśnie taka, stworzona na upalną, słoneczną pogodę, to albo niema do niej kołnierzyka, albo spód jest za długi, czy za krótki, a gorzej jeszcze, jeżeli nie odznacza się on żadną z tych cech, bo, poprostu, niema go wcale. Przechodzimy zatem do porządku dziennego nad ową niefortunną tualietą, szukając dalej, zawsze jeszcze z nadzieją na uśmiech losu, co rozwikła sytuację.

Jest sukienka z leciutkiego jedwabiu. Pamięta wprawdzie ubiegłe lato, ale ma boską linję, jest twarda, śliczna w kolorze; tylko zapomniano o tem, że może być potrzebna lada dzień, lada godzina. Odświeżyć ją dyskretną kąpielą w śnieżno-białej pianie rozpuszczonych płatków mydlanych, przeciągnąć elektrycznym żelazkiem, zdawało się taką bagatelką! ot, 15 minut, pół godziny. Zawsze będzie na to jeszcze dościsnąć czasu.

A jednak, po gorączkowym zbadaniu godziny, okazuje się, że 15 minut, czy pół godziny, potrzebne na przywrócenie świeżości tej jedynej odpowiedniej szatce, jaką rozporządzamy, to, w obliczu projektów, czy zobowiązań chwili, nie bagatelka, a prawdziwa katastrofa. Coś, co wywraca porządek dnia do góry nogami; jeszcze jeden przyczynek do niepunktualno-



Obfita i czysta
piana ożywia
cerę

532

ści kobiecej, która stała się już przysłowiową; chmura na horyzoncie rozslonecznionego nastroju; przeciwność życiowa o ciężarze gatunkowym nie do zbagatelizowania.

Dalszy korowód smutnych zawodów czerpie swą zabójczą siłę z braku punktualności nadwornej krawcowej, albo z opieszałości własnej, co szuka zawsze wytłumaczenia w pobocznych przyczynach, zapominając o niewygodzie nieuniknionych skutków.

Cóż z tego, że kalendarzowe lato wygląda już z kartek kalendarza, kiedy wiosna jeszcze wiatrem dmucha i Bóg jeden wie, kiedy zaczną się upały? Dzień za dniem mija, jak z bicza trząst; budzi nas najniespodziewaniej któregoś rana prawdziwe, czystej krwi letnie, upalne słońce, a tu *niema co włożyć*.

Jeżeli gromowładnemu nastrojowi, lub cichej, czy głośniejszej rozpaczki w obliczu takiej katastrofy przeciwstawi ktoś logiczne rozumowanie, dowodząc, że trzeba było tak niewiele, aby uniknąć nieszczęścia — ot, poprostu pomyśleć w porę o tem, że nic nie trwa wiecznie, a prawa przyrody są niezmiennie i po zimie przychodzi wiosna, a po wiosnie lato — spotka się ten biedak z ciężkim zarzutem, że nie umie docenić, jaki skarb posiada w domu, bo nie dlatego w tualecie pani są podstawowe braki, że jest niezaradna, leniwa, niepraktyczna, a dlatego, że jest oszczędna i nie widzi potrzeby wyrzucania pieniędzy na gałganki.

Tylko, niestety, rozumowanie takie okazuje się w praktyce lotnym piaskiem, który może rozproszyć lada podmuch, a rozprasza go pierwszy upalny dzień, pod którego wpływem trzeba zacząć gorączkowe zabiegi, o sto procent kosztowniejsze i bardziej męczące, niż przedwczesna może, ale spokojna i zrównoważona kampanja tualietowa.

Zaczyna się kupowanie nagwałt, szycie gorącą igłą; wszystko odbywa się pod znakiem zdenerwowania, chaosu i pośpiechu i wszystko wypada nie tak, jak trzeba. Okazuje się wkońcu, że mamy nadmiar albo codziennych, albo strojnych sukienek, że o czemś podstawowym zapomniano, a nie starczy już na to pieniędzy, i w rezultacie cały sezon mija pod znakiem jakiegoś dotkliwego niedoboru, który staje się powodem wielu wyrzeczeń, albo psuje miłe chwile.

Bo jednak odpowiednie od stóp do głowy ubranie — to miara samopoczucia, które przyczynia się do podniesienia, albo do obniżenia skali odbieranych wrażeń. Lato jest z tego punktu widzenia sezonem najodpowiedzialniejszym.

Trzeba przefiltrować toalety letnie przez cały szereg sytuacji: wahań barometru i termometru, upodobań, obowiązków towarzyskich, zwyczajów, nie zapominając przytem o sposobie spędzania czasu, miejscu pobytu, a wreszcie o wieku, figurze i karnacji.

Trudno omówić drobiazgowo wszystko to, o czym każda kobieta pomyśleć powinna u progu lata. Potrzeby nasze są nacechowane wybitną indywidualnością, indywidualne są też nasze budżety; ale każda z nas, chcąc zapewnić sobie spokój, wygodę i dobre samopoczucie podczas lata — zarówno w okresie pracy, jak urlopu, przy zajęciach dnia powszedniego, jak i w czasie wolnych godzin — musi opracować spokojnie i rozważnie plan kampanji.

Suknie letnie powinny być przede wszystkim zrobione z tkanin, które nie zmieniają barwy pod wpływem słońca, dają się prać i prasować bez obawy o konieczność usunięcia ich z listy sukien użytkowych po pierwszym zetknięciu z mydłem i wodą. Te, które nosimy często, nosimy nieomal że codziennie, niechże nie będą misternie wymarszczane, przybierane bufkami, wymyślnymi fantazyjkami, doprowadzającymi do bezsilnej rozpaczki przy każdym prasowaniu. Jak najmniej ozdób, odpruwanych przed każdym praniem!

Kołnierzyki, żaboty, mankiety — to śliczne i podnoszące całość wykończenia, ale przy codziennych sukienkach (szczególniej w pracowitem życiu kobiety, która nie ma kim się wyręczyć i wszystko musi zrobić sama) stają się obciążeniem, pod którym załamuje się linja estetyczna. Bo kończy się zwykle tem, że garnitury, których urok polega na nieskazitelnej świeżości, albo tracą swoje cechy, albo poprostu zostają odrzucone, jako zbyt kłopotliwe.

Prosta sukienka o typie sportowym, spięta barwnym paskiem, ożywiona kokardą zręcznie związanego krawata, łatwa do uprania i odprasowania — to najlepsza i najszykowniejsza z naszych letnich sojuszniczek. Zróbmy ją z tkaniny lekkiej, ale nie przezroczystej — wyzbędziemy się tem samym kłopotu i kosztu dostosowywania do każdej sukni specjalnego spodu, lub demonstrowania kształtów, zarysowujących się przez przezroczą tkaninę — przejaw, spotykany na każdym kroku, a wysoce nieprzyzwoity i nieestetyczny.

Podobnych przykładów możnaby przytoczyć całe szeregi; niedogodności tych łatwo jednak uniknąć, odnosząc się do spraw toaletowych z należytą im rozważnością, doceniając, jak wielką rolę grają w naszym życiu. Nie jest to bowiem kwestja tylko kokieteryjno-gałgankowa, ale przede wszystkim estetycznego wyglądu, wygody, dobrego samopoczucia i wydajnego użytkowania budżetu toaletowego. *Wanda Dobrzańska*

RADY LETNISKOWE

Przedewszystkiem muszę uprzedzić, że srodze zawiodłaby się Pani, jeśliby pod powyższym tytułem spodziewała się znaleźć wiązanek porad domowogospodarskich, z wyjazdem i pobytem na letnisku związanych. Ani opisu najnowszych toalet letniskowych, ani rozprawki na temat „wiejskie słońce i woda — a cera“, ani przepisu na jakieś przedziwne, powiedzmy... z jałowca, konfitury, ani przemysłnego sposobu wytwarzania giętych mebelków... z suszu leśnego, ani niezawodnego sposobu na odzwyczajenie pana domu od przyjeżdżania w niedziele w orszaku pozbieranych po drodze gości — artykuł ten zawierać nie będzie. Przedmiotem jego rozważań będą zaledwie rady, mające na celu uchronienie Pani od okradzenia na letnisku.

Niebezpieczeństwo okradzenia zaczyna się już od chwili rozpoczęcia ładowania rzeczy na furę. Przeróżnego autoramentu złodziejzki czyhają tylko na chwilę, aby ściągnąć coś z wozu, wysilając się w tym celu na najrozmaitsze sposoby. Oto niedawno zdarzył się wypadek, że skradziono z wozu pokaźny tłumok w ten sposób, iż złodziej skłonił służącą do odejścia od wozu, wzmówiwszy w nią, jakoby pani wzywała ją na górę dla dopomożenia furmanowi, który w żaden sposób nie może sam podolać zniesieniu stołu. W innym wypadku umyślnie rozsypanie drobnej monety przez dwu złodziejzki i wszczęta przez nich zwada przy zbieraniu — wystarczyła do zaabsorbowania uwagi służącej o tyle, że trzeci wspólnik z łatwością ściągnął z wozu kosz z bielizną.

Powiedzmy jednak, że naładowanie rzeczy i wyprawienie ich na letnisko odbyło się szczęśliwie. Rozpoczyna się dla Pani druga faza niebezpieczeństwa, jaką jest przewóz. Naładowana po uszy furmanek, zawierająca część domowego dobytku, zmuszona jest Pani wyprawić pod dozorem zazwyczaj gapiowatej służącej. Oczywiście, inaczejby rzecz wyglądała, gdyby można było powierzyć dozór komuś stateczniejszemu z domowników. Niestety, najodpowiedniejszy potemu synek podrastający, ewentualnie pan domu, których zwykle nie można ściągnąć z łóżka, w dniu wyjazdu na letnisko, podstępnie wypryskują z domu równo ze wschodem słońca. A tymczasem na zboczach dróg, w rowach przydrożnych, na samych wreszcie drogach czyha plejada złodziei. Zwyczajny zabieg, polegający na przecięciu sznurka, którym umocowane są na wozie rzeczy, a obliczony na spadnięcie jakiejś walizeczki — jest równie prosty, jak skuteczny. Często rolę przecinacza spełnia tu jakiś chłopaczek, starający się wzbudzić mniemanie, że oto ze zbyt kłopotliwych wozu, zabawiając się w ten sposób sztuką umiejętnego wykręcenia się z pod bata furmana. Równie dobrą okazją jest zagadanie się służącej z furmanem, odejście obojga od wozu, albo i zgola zdrzemnięcie się w trakcie monotonnej jazdy.

Bez względu jednak na to, czy przyjazd na letnisko odbędzie się szczęśliwie — po przybyciu na miejsce i uporaniu się z tą nawalą trudu i kłopotów, jakie są nieodłączne od „urządzania się“ — rozpoczyna się letniskowa sielanka. Tę miłą atmosferę muszę jednak trochę zakłócić przypomnieniem, że jest to nie tylko sezon letników, ale i złodziei letniskowych; lepiej przytem, jeśli zakłóć wiejską sielankę zawczasu, w formie przyjaznego ostrzeżenia, aniżeli miałyby się to stać w postaci dotkliwego napomnienia przez złodziei.

Chciałbym tedy dobitnie zwrócić uwagę Pani, że

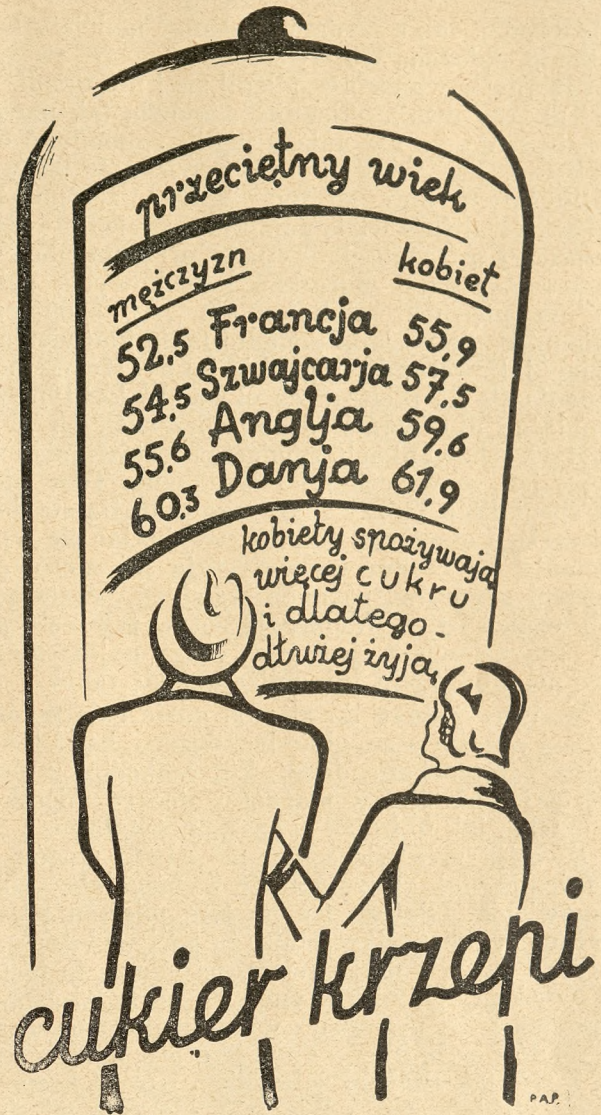
na Jej spokój czyha letniskowy złodziej. Niechaj to jednak nie wbija Pani w zbytnią dumę, proszę bowiem nie sądzić, że na Jej letniskową chudobę łaszczyć się będzie złodziej „solidny”: jest to taki sobie „patałach”, zwany w gwarze „przypadkowcem”. Specjalna ta kategoria przestępców rekrutuje się ze złodziei niższego rzędu, nieposiadających większego wyrobienia, ani specjalności, a tem samem i poważania w kołach złodziejskich. W tych bowiem sferach, podobnie, jak na całym świecie, specjalność jest ceniona, jako wskaźnik poważnego traktowania swej pracy: może to być tak niski szczebel specjalności, jak kieszonkowiec, łaszczący się na byle chusteczkę, ale niech jakaś specjalność będzie. Tymczasem taka przypadkowa marnota chyta poprostu, co mu pod rękę wpadnie.

I tu trzeba oddać Pani sprawiedliwość, że ma niezaprzezony talent nastęrczania potemu sposobności złodziejowi, w sposób beztroski pozostawiając niezliczoną ilość przedmiotów bez dozoru. To jakaś poduszka, to przerzucona przez parkan sztuka suszącej się bielizny, to szczotka, czy niedbale rzucona miska — wszystko mile jest widziane przez „przypadkowca”, który niczem nie pogardzi. A już szczególnie służące pokładają tu wielką ufność w opiece Boskiej — ufność tem większą, że przecież chodzi o przedmioty, będące własnością domu.

„Przypadkowiec” letniskowy operuje chętnie za dnia, kiedy to przebywający na powietrzu letnicy, przypisujący w dodatku światłu dziennemu przesadną moc odstraszenia złodziei — rozrzucają po obejściu wszelakie możliwe dobro. Trudno złodziejowi kręcić się tak bez powodu, przeto chętnie przybiera postać żebraka, osoby, poszukującej jakiegoś niestworzonego letnika, handlarza domokrażnego itd. Nie mam tu na myśli stałych dostawców nabiału, drobiu, owoców i t. d., jednak jeśli chodzi o handlarzy przygodnych, szczególnie tych, co to chwyci byle pęczek kwiatuśków i już jest kupiec — to należy mieć w pamięci, że odpowiedni przepis policyjny nie darmo zakazuje handlarzom wędrownym wchodzenia po zachodzie słońca do obcych domów i zagród.

Nie zawaha się zresztą „przypadkowiec” i przed wpadnięciem do wnętrza mieszkania, jeśli mu się zdarzy okazja. Chwilowe pozostawienie mieszkania bez dozoru wystarcza mu tu w zupełności, cóż dopiero mówić o sposobnościach lepszych! Do tych należy pewien, dość rozpowszechniony zwyczaj, któremu, jako zasługującemu na szczególne potępienie, poświęcę trochę więcej miejsca. Wysłała Pani służącą po jakiś sprawunek. W międzyczasie, przypomniało się Pani, że jest to akurat pora spaceru, nakazana przez lekarza pod groźbą dalszego utycia. A tymczasem służąca, która zawadziła, oczywiście, po drodze tu i owdzie, nie wraca. W rezultacie, poirytowana długim czekaniem, rezygnuje Pani z miłego spaceru. Od czego jednak są sposoby? Wpada więc Pani na świetny pomysł, że na przyszłość, ilekroć będzie chciała wyjść w czasie nieobecności służącej, zostawiać jej będzie klucz na jakimś gwoźdźniku, powiedzmy we framudze drzwi, czy pod słomianką, czy też w jakimś innym, „sprytnie” pomyslanem schowanku. O skutkach tego rodzaju pomysłów nie potrzebuję się rozwodzić.

Operując chętnie we dnie, nie gardzi „przypadkowiec” i ciemnością. Szczególne zaś upodobanie czuje do zmierzchu, jest to bowiem pora, kiedy w pobliskich trawników, ławeczek, hamaków, leżaków ściągają letnicy do domów, pozostawiając sprzątnięcie różnych rzeczy służącym, które nie zawsze czynią to w takim tempie, jakby to leżało w intencjach ich



511

pań. Pora wieczorna jest pozatem szczególnie odpowiednia do ściągnięcia czegoś z werandy, z ganku, a nawet z okna, często wprost z pod ręki. Szczególniej podczas kolacji, gdy wszyscy domownicy skupiają się w tym celu w jednym miejscu, pozostawiając szereg pomieszczeń bez dozoru, wytwarzają się warunki przyjazne dla złodzieja. Typowym przykładem może tu służyć banda, która przed dwoma laty grasowała w jednym z naszych uzdrowisk: szajka ta obrała sobie za cel działalność właśnie porę kolacji, podczas której plądrowała z dobrym skutkiem po pokojach pensjonatowych, opuszczonych na ten czas przez ich mieszkańców dla zgromadzenia się we wspólnej jadalni.

Następuje noc. Jeśli to może być dla Pani jakim pocieszeniem, to trzeba zauważyć, że kradzieży w nocy z zamkniętego mieszkania nie podejmie się zwykły „przypadkowiec” — lecz bardziej wykwalifikowany złodziej mieszkaniowy, zwany w gwarze „klawisznikiem”. Oczywiście, że zamknięte okiennice stanowią tu dla złodzieja zaporę nielada. Bądź co bądź, trzeba w nich wypilowywać otwór, co jest rzeczą zarówno pracowitą, jak i zdradzającą wskutek związanego z tem szmeru: następnie trzeba zrobić otwór w szybie, co wprawdzie dla specjalisty jest rzeczą osiągalną, jednak wymaga wielkiej ostrożności, jeśli się zważy, że należy przedtem naciąć odpowiedni

otwór djamentem, a następnie usunąć nadcięty kawałek dłonią, obłożoną warstwą kleistej masy, zważając, by usuwany kawałek nie odlepił się i nie upadł.

Tak, czy owak, okiennice stanowią tak poważne zabezpieczenie, że nie należy nigdy zapominać o ich zamykaniu. Jest to rzecz tak oczywista, że nie wspominalibyśmy o niej, gdyby nie fakt, że, pożałujcie Boże! widywaliśmy wiele pań, które zaniedbywały tej najprostszej ostrożności. Wypada przytem ubolewać, że przeważna część mieszkań letniskowych, położonych na piętrach, nietylko nie jest zaopatrzona w okiennice, ale posiada ponadto takie ułatwienia dla złodziei, jak werandy i ganki, jakby stworzone do wspinania się do piętrowych okien. W każdym razie skrupulatne ukrywanie drabin przenośnych w zamkniętych schowankach, zamiast pozostawiania ich na dworze, jest ze wszech miar wskazane. Tem więcej, że są specjalności, którzy i bez tego potrafią się dostać do otwartego okna, czy lufcika, wspinając się wprost po ścianie, ku czemu wykorzystują jej nierówności w postaci gzymsów, różnych wgłębień, wystających ozdób, rynien i t. p. Wybierają zaś w tym celu porę, kiedy sen człowieka jest zazwyczaj najmocniejszy, a więc początek nocy, lub zbliżający się ranek.

Wróćmy jednak do miasta, gdzie całe mnóstwo mieszkań pozostaje zupełnie bez dozoru, bądź też pod dozorem samego pana domu, który choćby z natury swych zajęć nie jest w możności otoczyć mieszkanią taką opieką, jak to bywa w czasie normalnym.

Kwestja zabezpieczenia mieszkań wogóle jest zagadnieniem tak obszernem, że wymagałaby osobnego omówienia. Dlatego też na tem miejscu musimy się ograniczyć do podkreślenia, że jeśli wyłożenie pieniędzy na dobre zamki zawsze się opłaca, to tembardziej w okresie letniskowym. Nie zawadzi przytem przypomnieć, że przezorne wyniesienie cenniejszych przedmiotów w bezpieczne miejsce jest bardzo wskazane. Z tem tak znanem zaleceniem wprost krępowałbym się występować, gdyby nie zdarzyło mi się od czasu do czasu miewać do czynienia z wypadkami kradzieży z opuszczonych mieszkań nawet tak cennych przedmiotów, jak: futra, srebra stołowe i t. d. Nie badałem szczegółowo kwestji asekuracji mieszkań na czas letniskowy, z tego jednak, co dało mi się słyszeć od osób, które tego środka próbowały, możnaby sądzić, że związane z tem warunki są wcale przystępne. Jednak może jednym z najpewniejszych środków jest obiecianie swemu dozorczy odpowiednio łakomej premji, jeśli mieszkanie po powrocie z letniska zastaniemy w porządku: zwiększona wskutek tego czujność odpowiednio zainteresowanego dozorczy w olbrzymio przeważającej ilości wypadków okaże się owocną.

Nastaje moment powrotu ze wsi i tutaj powtarza się ta sama historia, co przy wyjeździe, a jest nią troska o dostawienie rzeczy do miasta bez wypadku kradzieży. Sposoby, stosowane tu przez złodziejasków, są te same, co w okresie wyjazdów na letniska. Ponieważ omówiłem je, jak sądzę, dostatecznie już na początku artykułu, przeto nie powracałbym do nich, gdyby nie pewien trick szczególny, zaczerpnięty tym razem nie z życia, ale z literatury pięknej. W szkicach Chętnika „Z kurpiowskich borów“, wśród szeregu przemyśłych opowiadań, znajduje się z niezwykłym humorem skreślona gadka kurpiowska, jak to sprytny „warszawski“ złodziej, spotkawszy jadącego wozem Kurpia, ściągnął mu z wozu żonę i odbiegł z nią na bok, licząc na to, że podczas gdy gospodarz pobiegnie, aby odzyskać uprowadzoną w ten sposób małżonkę,

wspólnikowi złodzieja uda się okraść wóz. Oczywiście, że z punktu widzenia niniejszego artykułu, muszę to potraktować tylko jako wartościową pod względem literackim gadkę ludową; zbyt wiele bowiem, sądzę, ryzykowałby tu złodziej: przemyślny Kurp mógłby wykorzystać tę okazję, aby pozbyć się swej połowicy raz na zawsze. Dlatego też, przechodząc od tej dygresji literackiej do wskazań istotnych, pozwolę sobie jeszcze raz zwrócić uwagę na szereg wypowiedzianych powyżej ostrzeżeń: niechaj posłużą Pani z pożytkiem dla Jej własności.

J. Misiewicz.

PLAGA LETNISK — MUCHY

O wiele przyjemniejsza byłaby myśl o pobycie na wsi, gdyby jej nie zasnuwały ciemne chmury wspomnień o muchach.

Na myśl o tych dokuczliwych, czarnych rojach aż się człowiek wstrząsa z obrzydzenia!

Gdyby tak wszyscy wzięli się za ręce i wypowiedzieli walkę temu skrzydlatemu wrogowi, to, choć może nie dałoby się zła usunąć zupełnie, ale możnaby tę plagę znacznie zmniejszyć.

Aby walka była skuteczna, musi być prowadzona na wszystkich frontach jednocześnie i trzeba się wziąć do niej ostro.

Muchy powinny być tępione od najwcześniejszej wiosny. Płodność ich jest tak olbrzymia, że gdyby wszystkie żyły, to z jednej muchy od połowy kwietnia do końca sierpnia wylęgloby się 10 pokoleń, sięgając ilością astronomicznej cyfry 336 tryljonów.

Jednorazowo składa mucha około 120 jajek, najchętniej na różnych gnijących ciałach i odpadkach, żeby gąsieniczki, wylęgnięte po 8 — 24 godzinach, miały odrazu czem się żywić. Są one niesłychanie żarłoczne.

Po 10 — 14 dniach jasno żółte gąsieniczki, leniące się kilkakrotnie, zamieniają się w brązowe, barylkwate poczwarki, które znowu po 10 — 14-dniowym okresie wychodzą ze swych pancerzy, jako skrzydlate, dorosłe muchy, stworzone do uprzyjemniania wiejskiej wilegijatury.

Im cieplej, tem okres wylęgania trwa krócej.

Jesienią zapłodnione samice ulokowują się w szparach kuchen, mieszkań ludzi i zwierząt, jednym słowem, w ciepłym, zacisznym miejscu, i tu zimują, a na wiosnę, z nastaniem ciepła, zaczynają składać jajka.

Poczwarki much również zimują w kupach śmieci i gnoju. Właściwie najlepszą porą do tępienia much jest ten właśnie okres. Jedna, zabita wówczas mucha — to miljaridy niewylęgniętych much na wiosnę i w lecie.

Cała akcja tępienia much powinna iść w kierunku utrzymania drobiazgowej czystości tych wszystkich miejsc, w których mogą zimować zalążki much.

Muchy musimy tępić nietylko dlatego, że są one uprzykrzone, że nam dokuczają i brudzą wszystko: na łapkach, pyszczku i skrzydełkach przenoszą one zarazki odry, szkarlatyny, tyfusu, czerwonki i wogóle wszelkich zakaźnych chorób.

Gdyby tak człowiek zaczął rozmyślać, gdzie to mucha przedtem była, toby nie wziął do ust nic, na czemby siadła.

Kraje o wysokiej cywilizacji, jak np. Anglja — wypowiedziały muchom zaciętą walkę; placą tam ro-

dzaj premji za każdą setkę zabitych much. My jesteśmy za biedni, abyśmy sobie mogli na to pozwolić. Musimy poprzestać na wewnętrznym zadowoleniu z dobrego uczynku, jakim jest bezsprzecznie tępienie much.

Ale, jak je tępić? Przedewszystkiem tak, jak wszelkie pasożyty: bezwzględną czystością; następnie ochranianiem przed muchami naszych mieszkań i artykułów spożywczych.

W okna najlepiej wstawić drewniane ramy z siatką, lub przypiąć zapomocą gęsto umieszczonych pluskiewek kawałek organdy, dokładnie dopasowany do okna. Wydatek to groszowy: na cały sezon wystarczą dwie zmiany organdy, a muchy mają utrudniony dostęp do mieszkania.

Wyjeżdżając na wieś, należy zabrać kilka dużych siatek do przykrywania produktów, które powinny być osłonięte nawet wtedy, gdy stoją na stole podczas posiłków. Na przechowywanie produktów dobrze jest zaopatrzyć się w lekką szafkę z drzwiami siatkowymi, lub wreszcie wziąć dużą skrzynkę, do której takie drzwiczki dopasować. Przy odrobinie dobrej woli można to wykonać nawet domowymi środkami.

Dalszym sprzymierzeńcem w walce z muchami będzie „Flit“; bez tego preparatu nie powinno się wogóle wyjeżdżać. Niestety, posiada on kilka poważnych wad: jest stosunkowo bardzo drogi, nie wszędzie można go dostać i nie wszyscy znoszą jego zapach, bądź go bądź bardzo niemili.

Dużo much ginie, gdy się rozstawia łąpki w kształcie szklanej bani z otworem u dołu, pod który kładziemy jakąś słodką przynętę, w postaci cukru, chleba polanego mlekiem i t. p. (do bańki wlewa się serwatki lub wody). Kupić taką łąpkę można w sklepach ze szkłem.

Doskonale łapią się muchy również na pęki bylic, umoczone w serwatce i wysoko powieszzone; muchy chętnie je obsiadają, a o zmroku, gdy posną, trzeba ostrożnie wsunąć bylicę z lokatorami do worka, i natychmiast zanurzyć go w gorącej wodzie. Sposób ten daje dość dobre rezultaty, zwłaszcza, jeśli chodzi o tępienie much w kuchniach i t. p.

Rozwieszanie lepkich papierów jest wprawdzie mocno nieestetyczne, ale — cel uświęca środki — po bohatersku trzeba i ten środek stosować. Można takie papiery doskonale przygotować w domu, co wypada znacznie taniej.

Oto przepis: stopić 32 deka kalafonji z 6 deka oleju rzepakowego, poczem wymieszać z 6 dk. miodu. Kawalki tektury zwinąć w spiczaste lejki (przygotowanie tych lejków da przyjemne zajęcie dzieciom w dniu słone, gdy trudno je zająć), u dołu obrócić nożyczkami tak, aby dobrze stały. Lep rozsmarować po nich niezbyt cienko pędzelkiem i postawić na piecach, szafach — wszędzie tam, gdzie much najwięcej. Można tym lepem smarować również rozmaite gałązki i rozwieszać je w pokoju.

Gotując lep, należy uważać, gdyż łatwo może wykipieć, dlatego dobrze jest brać stosunkowo bardzo duże naczynie. Lepiej to robić samej, nie spuszczać się na nikogo, bo masa jest niesłychanie łatwopalna i przy nieostrożnym obchodzeniu się z nią można wywołać nawet pożar.

Wszelkie płyny, którymi są przesycone trujące papiery, kupowane w składach aptecznych, lub też przyrządzane w domu choćby z muchomora, uważam za niewskazane, a to z kilku względów:

1) tam, gdzie są dzieci, zachodzi obawa zatrucia dzieci, a jeśli się zatrute muchy wyrzuci — to i drobiu;

2) muchy, po napiciu się tego płynu, przenoszą go na pyszczku i łąpkach na jedzenie i na otoczenie;

3) bardzo często muchy po spożyciu trucizny dostają biegunki i, oszolomione, łażą i brudzą meble i inne przedmioty, na których siadają, co jest wprost obrzydliwe!

Odstraszająco działa na muchy kolor niebieski, to też pożądanym jest malowanie kuchni tym kolorem (bodaj wapnem z dodaniem ultramariny); dalej — zawieszanie okien sztorami niebieskimi (choćby białe przyfarbkować bardzo mocno).

Muchy nie lubią wogóle ostrych zapachów, a zwłaszcza zapachu, jaki wydzielają liście orzecha włoskiego, piolun, paproć i tytoń. Wreszcie dymem siarki, suchych liści dyni, wiórow z rogu, włosienia, sierści — można również na krótko wypłoszyć muchy.

Środków tępienia jest wiele — trzeba tylko zabrać się do tej walki na śmierć i życie, a zwycięstwo pewne.

Marzenna Saryusz-Stokorska.

ŻEBY TO, CO JEMY, SZŁO NAM NA ZDROWIE

Każda gospodyni, a szczególnie każda żona i matka liczniejszej rodziny, staje od czasu do czasu bezradna przed dylematem: jak pogodzić wskazówki, a nawet nakazy domowego lekarza z wkorzeniem przyzwyczajeniami, gustami, czy wprost oporem wszystkich, lub niektórych członków rodziny?

Doktor każe zmniejszyć do minimum ilość spożywanego mięsa, a przynajmniej usunąć mocne rosóły, zawiesziste sosy, dania długo duszone — i to wszystko głównie dlatego, że pan domu ukończył już dosyć dawno, powiedzmy — lat czterdzieści i cierpi na ostre ataki artretyzmu, podagry; jest przytem bardzo otyły, co jednak przypisuje nie wadliwemu odżywianiu się, a tylko siedzącemu trybowi życia, spowodowanemu pracą biurową. Lecz ów pan bez dwóch talerzy barszczu lub innej zupy ze śmietaną jest głodny; lubi tylko befsztyki, rostbefy i inne mięsa solidne; bez kieliszka wódki i szklanki piwa nie rozumie obiadu; z legumin uznaje tylko budynie, lub ciasta smażone w tłuszczu.

Za przykładem ojca idą dorastający synowie, którzy, dzięki szybkiemu wzrostowi, są obdarzeni olbrzymimi apetytami, nie dającymi się niczem nasycić. Córki, przeciwnie, chcą mieć idealną linję i nie jedzą nic solidnego; mają natomiast pasję zjadania wszystkiego na kwaśno, polewając każde danie cytryną — oficjalnie, octem — w tajemnicy.

Walka otwarta z temi przyzwyczajeniami jest daremna.

Można jednak powoli wprowadzać różne smaczne dodatki, narazie chociażby w postaci dużych ilości sałaty zielonej, smacznie przyprawionej, i różnych sałatek jarzynowych z majonezem lub jego tańszymi surrogatami, których przepisy we wszystkich współczesnych książkach kucharskich znaleźć można.

„Człowiek żyje nie tem, co zjada, lecz tem, co strawi“ — mówi francuskie przysłowie. Im wolniej pożywienie się trawi, tem dłużej trwa uczucie sytości, i może właśnie w tem leży powód wybitnego zamiłowania naszych panów do wołowiny i wieprzowiny, które są najtrudniej strawne ze wszystkich produktów, codziennie u nas używanych.

Jeżeli porównamy czas, potrzebny do strawienia

innych, powszechnie jadanych artykułów: ryż — 1 godzina, jaja surowe — 1½ godziny, chleb i mleko — 2 godziny, kartofle — 2½ godziny, ryba i jaja na miękko 3 godziny — to tylko jedno jaja na twardo, wymagające całych pięciu godzin, trawia się wolniej od tych obu mięs.

Wszelkie picie przy posiłkach — nie mówiąc już o napojach alkoholowych, które działają specjalnie szkodliwie — nie jest wskazane, gdyż przez rozrzedzenie soków żołądkowych trawienie staje się bardziej utrudnione.

Osoby, dokładnie przeżywające potrawy, rzadko odczuwają przy jedzeniu potrzebę napojów. Bo przecież wszystkie produkty spożywcze zawierają w sobie duże ilości wody i, o ile nie są przesolone i zbyt korzenne, nie wywołują pragnienia. Płyny jednak są niezbędne dla osób, skłonnych do obstrukcji, oraz latem, w czasie upałów, jako kompensata obfitego pocenia się.

Od najwcześniejszego wieku należy uczyć dzieci dokładnego żucia pokarmów. Produkty, niedokładnie przeżute, tylko przechodzą przez organizm, wcale go nie żywiąc. Stosuje się to w szczególności do wszelkiego rodzaju orzechów i migdałów, odgrywających tak dużą rolę we współczesnej kuchni dietetycznej.

Oddawna znaną prawdą jest, że wszelka irytacja, smutek, przykre rozmowy przy jedzeniu, odbierają apetyt i szkodzą trawieniu. Przeciwnie: dobry humor, wesoła rozmowa ogromnie dodają tego apetytu — co możemy obserwować na zebraniach towarzyskich, szczególnie w tych, gdzie panuje nastrój wesoły, gdzie się rozlega śmiech, krążą wesołe opowiadania i anegdota.

Należy też unikać spożywania potraw zbyt gorących, wprost z patelni, zarówno jak i potraw zanadto wystudzonych, z lodu. Szczególniej bezpośrednie podawanie jednych po drugich jest bardzo szkodliwe dla żołądka.

Wracając jednak do łagodnych sposobów wprowadzenia pewnych zmian na lepsze w naszych jadłospisach, można reformę zacząć od zupy.

Zamiast zup na mięsie, lub na równie szkodliwych kościach, można dawać różne zupy jarzynowe, przecierane, zaprawiane żółtkami, czy śmietaną, lub chociaż na smaku z jarzyn. Dobrze przyrządzone, są one nawet smaczniejsze od mięsnych, i, o ile biesiadnicy nie są wtajemniczeni w czynności kuchenne, nigdy się na tej zmianie nie poznają.

Oprócz sałat, należy wprowadzić do codziennych jadłospisów różne jarzyny delikatniejsze, krótko gotowane i polane tylko świeżym masłem, bez żadnych mącznych zaprawek.

Współcześni dietetycy każą zaczynać posiłek od surowych owoców. Niestety, nietylko duża drożyzna owoców (wszelkie błagania lekarzy i szerokiej publiczności, wszelkie petycje do rządu o zniesienie, lub zmniejszenie cła na pomarańcze, pozostają głosem wolającego na puszczy!) — lecz i nasze, wiekami zakorzenione przyzwyczajenia nie pozwalają wprowadzić u nas tej zmiany.

Natomiast gospodyni może wykorzystać nasze amatorstwo do przekąserek i przed zupą podawać latem: rzodkiewki, mizerję z ogórków, sałatkę pomidorową; zimą — rzodkiew ze śmietaną, ogórki kiszzone, kapustę surową z oliwą i cytryną, co chętnie będzie widziane, zjadane z apetytem w chwili pierwszego głodu, i wprowadzi nieznacznie surówkę, bogatą w witaminy, do codziennych jadłospisów.

Pozatem, o ile środki nasze pozwalają na większą ilość dań, oprócz leguminy właściwej należy dawać kompot z owoców, lub sałatkę z owoców surowych. O ile nie stać nas na dwa dania słodkie — taki kompot lub sałatka powinny być najczęściej podawaną legumina.

Pani Elżbieta.

PO EPOCE KOBIETY CHUDEJ

Ile pani waży? — 68 kg... A pani? — 62 kg!... O Boże, rozpacz mnie ogarnia! Należy rozpocząć głodówkę, by stracić zbytecznych 6 kg.

Rozmowy takie słyszało się ciągle, bo czyż nie była najważniejszą sprawą, kwestja „linji”...

Kobiety, nie znaly w tym wypadku umiaru, i miast postaci kobiecych, widziało się czysto ubrane tyki, smukłość przerodziła się w obrzydliwą chudość. Przesadna chudość była i będzie brzydka, trudno zaiste w kańciastych kształtach dopatrzeć się wdzięków kobiecych.

Wychudzona kobieta traci na uroku, szyja się wyciąga, broda staje się śpiczasta, policzki się zapadają, kości policzkowe wystają, cała skóra, wskutek zeszczuplenia marszczy się, i na nic nie przydają się puder i szminka.

Pominąwszy to, że kobiety wskutek zeszczuplenia, straciły energję i ochotę życiową, macierzyństwo stało się dla nich i dla dzieci wprost katastrofalne. Poród i skutki porodu były dla kobiet takich niesłychanie ciężkie, niemowlęta zaś wegetowały, odżywiane sztucznie, i wyrastały na istoty słabe, niezdolne do życia.

Na szczęście należy to wszystko do przeszłości. Nie wynika z tego, że tegie, niezgrabne postacie uchodziły kiedykolwiek za piękne, nie były one nigdy w modzie! Zdefiniujemy przedewszystkiem kogo nazywa się tęgim. A więc osoby, ważące 80 — 90 — 100 kg. Normalna waga kobieca jest mniejszą. Normalna waga dojrzałej, zdrowej kobiety wynosi tyle, ile wynosi wysokość danej osoby, mierzona w centymetrach ponad jeden metr. A więc kobieta o wzroście 165 cm. powinna ważyć 65 kg., o wzroście 172 cm. powinna ważyć 72 kg. Przy silnej budowie można doliczyć jeszcze 5 kg. U kobiet o tym samym wzroście i podobnym wyglądzie zachodzi czasem różnica w wadze około 5 — 8 kg., a różnica ta zależy od budowy kości.

O tem należy pamiętać, jeśli się przybiera na wadze. Po okresie wychudzania się zaczęto zastanawiać się nad sposobami, umożliwiającemi tycie.

Zamiast używania lekarstw, należy przedewszystkiem racjonalnie się odżywiać. Należy jeść jarzyny, owoce, mało mięsa, i słodczy. Sam cukier nie wywołuje tycia, odświeża jednak organizm, podtrzymując najskuteczniej siły żywotne człowieka.

Jako przykład powinni nam służyć Amerykanie, nigdzie chyba nie spożywa się w takich ilościach legumin, biszkoptów, herbatników, i kremów. A myli się ten, kto sądzi, że Amerykanie jedzą te potrawy tylko dlatego, że są smacz-

w willi „Maciejka”

w Orłowie

(nad morzem)

są jeszcze wolne pokoje na czerwiec
i pierwszą połowę lipca.

**Pensjonat wykwintny i niedrogi, śliczne po-
łożenie, pierwszorzędna kuchnia.**

Wiadomość: Orłowo, p. Kolibki Willa „Ma-
ciejka” — N. Czerwińska.

ne. Amerykanie i Amerykanki chcą przede wszystkim zachować świeżość i energję. Kto z nas nie pamięta z dzieciństwa, kiedy zmęczonym po wycieczce, lub znużonym nauką, matka radziła zjeść kawałek cukru lub czekolady i zmęczenie przechodziło.

Zdrowy sens, dzięki Bogu wraca, a *kawałek cukru*, który jest tak naturalną potrzebą organizmu, jak słońce i powietrze — nie może być odmówiony organizmowi.

PRZEPISY GOSPODARSKIE

ZRAZIKI WIEPRZOWE.

Najlepsze są z cienkich, wewnętrznych polędwiczek wieprzowych, które często w masarniach oddzielnie nabyć można. Polędwiczki te są bardzo delikatne w smaku, wcale nietłuste i mają mięso nieco ciemniejsze, niż górny schab. Na sześć zrazików bierzemy dwie takie polędwiczki (wagi około 80 deka), krajemy każdą na trzy części na ukos. Zbijamy mocno, nadając im kształt okrągły lub owalny. Duży korzeń chrzanu utrzeć na tarce, osolić, skropić octem, posypać cukrem, potrzymać tak godzinę, aby usunąć zeń zbytnią ostrość. Udusić chrzan w łyżce masła, posypać mąką, dodać półkwaterek śmietany, raz zagotować (powinien być bardzo gęsty). Dwie duże cebule pokrajać w paski, podsmażyć w łyżeczce masła, lekko rumieniąc. Następnie usmażyć na szmalcu lub maśle z oliwą sześć grzanek z bułki, kształtu i rozmiaru zrazików. Zraziki osolić, lekko popieprzyć, usmażyć na maśle. Na grzanki nałożyć grubo masy chrzanowej, na to ułożyć zraziki, pokryć smażoną cebulą, wstawić na chwilę do pieca, aby były bardzo gorące, i podawać z purée kartoflanem, lub kaszą puchową kartoflaną. Można robić te zraziki i z innej części wieprzowiny, lecz z polędwiczek są najsmaczniejsze.

KURCZE DUSZONE „VICHY“.

Jedno duże, lub dwoje mniejszych kurecząt, oprawionych, jak zwykle, i osolonych zewnątrz i wewnątrz, zrumienić w garnku, biorąc sporo masła. Gdy kureczęta się zrumienią, dodać dwie drobno usiekane, duże cebule, podlać rosołem, smakiem z jarzyn, lub wodą; dusić minut parę. Następnie włożyć 60 deka młodych marchewek lub karotek, osolić lekko i dusić wolno pod pokrywą, aż kureczęta dojdą, a marchewka zmięknie. Wsypać garstkę siekanej, zielonej pietruszki, wymieszać razem, nie gotując. Kureczęta wyjąć, podzielić, ułożyć na półmisku. Obłożyć wokół jarzynką. Można jeszcze dodać krajane kluseczki domowe, jako drugi garnitur do kurecząt.

RAKI W SOSIE JARZYNOWYM.

Mendel (15 sztuk) dużych raków starannie oczyścić twarzą szcztoką, wrzucić na mocno osolony wrzątek wraz z paru gałązkami kopru i zielonego szczypioru z cebuli. Gdy dobrze się zaczerwieni, wyjąć i przelać do następującego sosu. Usiekać piętnaście deka młodych marchewek, mały seler, pięć deka szynki. Udusić to wszystko w łyżce masła, wsypać łyżkę mąki, rozprowadzić szklanką wina białego (może być owocowe) i szklanką wody. Osolić sos do smaku, odrobinę popieprzyć, lub lepiej, włożyć kilka ziarn pieprzu białego. Dusić raki wolno w tym sosie przez minut piętnaście. Podać do stołu w tem samym naczyniu, posypane obficie zielonym koperkiem.

BUDYŃ Z RYBY.

Każdą rybę, już ugotowaną na zupe, można użyć jeszcze na budyń. Jest to doskonały sposób zużytkowania ryb drobniej-

szych, lub mniej wartościowych. Osiemdziesiąt deka ryby, doskonale oczyszczonej z ości, przepuścić przez maszynkę. Dwie czubate łyżki mąki zasmażyć z dziesięcioma deka masła, nie rumieniąc, rozprowadzić pół litrem zimnego, wpierv przegotowanego mleka, ostudzić. Zmieszać z rybą, osolić do smaku, dodać białego pieprzu, z zapachów użyć trochę gałki muszkatolowej lub zielonego koperku, następnie wbić trzy żółtka i wyrobić doskonale. Pozostałe białka ubić na sztywną pianę, wymieszać z rybną masą. Przełożyć do budyniowej formy, wysmarowanej masłem i wysypanej buleczką. Gotować w drugim rondlu z wrzącą wodą, od chwili zagotowania najmniej godzinę. Wyrzucić z formy na półmisek, polać rumianem masłem. W sosjerce podać sos pomidorowy, pieczarkowy, lub rumiany z kaparami czy korniszonami.

KAPUSTA CZERWONA DUSZONA.

Dużą, twardą główkę kapusty czerwonej uszatkować cienko, sparzyć wrzątkiem, odlać na durszlak. Dużą cebulę pokrajać drobno, zasmażyć w dużej łyżce masła, dodać kapustę i dusić wolno, często od dna mieszając, aż zmięknie. Można, dusząc, dodać parę ziarn pieprzu i jeden goździk. Następnie osolić, zaprawić łyżką mąki, weisnąć sok z pół lub całej cytryny. Dusić jeszcze minut parę. Następnie, zależnie od ilości kapusty, wlać pół kwaterek lub całą kwaterkę dobrej kwaśnej śmietany i zagotować razem raz tylko. Dobre danie jarskie, szczególnie na przednówku, kiedy jeszcze młodych jarzyn brak. Można obłożyć smażonami kartofelkami, lub kotletami kartoflanymi.

LEGUMINA CHLEBOWA Z JABŁKAMI.

Chleb czarny, żytni, pokrajać w cienkie kromki i ususzyć w piecu. Utłuc go, przesiać przez rzadkie sito. Wziąć takiego chleba pełną szklankę. Pół kilo dobrych, kwaskowych jabłek pokrajać w płatki, nie odrzucając skórki, gdyż skórka nietylko nadaje jabłkom właściwy aromat, lecz pod nią się mieszczą najcenniejsze składniki owoców — witaminy. Foremkę ogniotrwałą wysmarować masłem. Rzędami układać w niej tarty chleb i jabłka (warstwy chleba bardzo cienkie), każdą warstwę posypując cukrem i przekładając małemi, jak laskowy orzech, kawałeczkami masła. Szklanka cukru i dziesięć deka masła starczą na wszystko. Po wierzchu polać paru łyżkami miodu i wstawić na godzinę w bardzo wolny piec. Podawać w tem samym naczyniu. Do tego zimne mleko lub śmietanka.

GALARETA PORZECZKOWA.

Na galaretę porzeczkową używamy tylko czerwonych, lub różowych porzeczek: białe dają brzydki kolor, burą galaretę. Galaretka porzeczkowa, jako najwykwintniejszy garnitur do ciast i kompotów, jako podstawa zimnych sosów „Cumberland“ i „Groseille“, powinna się znajdować w każdej szpizarni.

Dojrzałe, lecz nie sfermentowane porzeczkę obrać z szypulek, oplókać, zalać wodą tylko tyle, aby je objęło. Zagotować, przecedzić płyn przez flanelowy lub barchanowy worek, lekko wycisnąć. Zmierzyć sok ten szklanką, wlać do miedniczki, zmierzzyć płyn patyczkiem, zaznaczyć na patyczku wysokość płynu. Na każdą szklankę soku brać szklankę cukru (grubego kryształu). Zagotować, mieszając od dna, aby się cukier nie przypalił. Gotować prędko na mocnym ogniu, szumując od czasu do czasu. Mierzyć patyczkiem: gdy pozostanie płynu tyle, co było, natychmiast zlewać do dobrze wygrzanych, małych słoików lub lampek. Studzać, niczem słoiki nie przykrywać, bo galareta odwodnieje. Gdy zupełnie zimna, zawiązywać słoiki, lub lepiej, zaklejać szklanym papierem, błoną z celulozy (krajowego wyrobu).

Pani Elżbieta.

KSIĄŻKI NADESŁANE DO REDAKCJI

DOM KSIĄŻKI POLSKIEJ.

„Saga o Gislím, wyjętym z pod prawa i inne sagi irlandzkie“ — opracował Artur Górski.

Helena Zakrzewska: „Dzieci Lwowa“ — wydanie siódme

BIBLIOTEKA JEDWABNICZA Nr. 1.

E. Kryńska: „Krótkie wskazówki dla Hodowców Jedwabników“ — Nakładem Stowarzyszenia Instruktorów jedwabnictwa w Polsce.

NAKLAD KSIĘGARNI GUSTAWA SZYLINGA.

E. M. Dell: „Lampa na pustyni“ — przekład autoryzowany Janiny Buchholzowej.

NAKLAD DRUKARNI MIESZCZAŃSKIEJ W POZNAŃIU.

Jan Sztandynger: „Ludzie“.

— : „Rzeź na Parnasie“.

NAKLADEM KSIĘGARNI F. HOESICKA.

Eugenjusz A. Lachij, prof. uniwersytetu Karola w Pradze: „Literatura rosyjska“ — zarys.

Stanisław Falat: „Sztuka i życie“ — refleksje.

Emil Bourgeois: „Duch dziejów Francji“ — przekład dr. Marjana Henzla.

Stanisław Bąkowski: „Z raj i podziemia“ — poezje.

Anna Ludwika Czerny: „Testament Adama“ — poezje.

Le théâtre en Pologne.

NAKLAD GEBETHNERA I WOLFFA. BIBLIOTEKAZNA UNIWERSYTETÓW LUDOWYCH I MŁODZIEŻY SZKOLNEJ.

Henryk Sienkiewicz: „Wspomnienie z Maripozy, Jamiół, Organista z Ponikły“ — (wyd. szóste).

Bolesław Prus: „Cienie, Z legend dawnego Egiptu, W górach“ — (wyd. czwarte).

DROBNE OGŁOSZENIA

NAUCZYCIELKA szkoły powszechnej może udzielać w lipcu i sierpniu korepetycji, zając się wychowaniem dzieci także w wieku przedszkolnym — miejscowość obojętna. Adres wskaże Redakcja.

Samo mycie włosów nie wystarczy!

Dopiero przez użycie PROSZKU DLA POŁYSKU WŁOSÓW udoskonala Pani ich pielęgnację! W opakowaniu szamponu CZARNOGŁÓWKA-EXTRA dajemy Pani do ręki cudowny środek: PROSZEK DLA POŁYSKU WŁOSÓW, dołączony bezpłatnie do każdej torebki tego szamponu! Proszę nim myć swe włosy regularnie co tydzień, a następnie wypłukać je rozczynem PROSZKU DLA POŁYSKU WŁOSÓW! Odświeży on i ożywi włosy Pani, dając im ów czarujący połysk, który Pani tak lubi! Zaleta, czyniąca środek ten niezbędnym dla Pani!

Cena 60 groszy

Jednakże do szybkiego odświeżenia włosów zawsze tylko: SHAMPOON CZARNOGŁÓWKA-SUCHY — w ośmiokątnej pudełku. 2 gatunki: neutralny i specjalny dla ciemnych włosów.

Wszędzie do nabycia, gdzie niema, wprost: APTEKARZ DRANCZ I SKA., BIELSKO, WYRÓB KRAJOWY

CZARNOGŁÓWKA EXTRA

Szampon z proszkiem dla połysku włosów

WARUNKI PRENUMERATY

w kraju oraz do Austrii, Czechosłowacji i Węgier: miesięcznie 5 zł., kwartalnie — 15 zł., rocznie — 60 zł.
Do innych krajów miesięcznie — 6 zł. 40 gr. Zmiana adresu 50 gr.

Redakcja i Administracja: Warszawa, Plac Zamkowy 9, tel. 239-40.

Prenumeratę przyjmuje Administracja „Bluszczy“ — Warszawa, Plac Zamkowy 9.
Konto P. K. O. — Warszawa Nr. 3700.

Wydawca: Tow. Wydawnicze „BLUSZCZ“, Sp. z ogr. odp.

Redaktorki: STEFANJA PODHORSKA - OKOŁÓW (naczelnia) i MARJA PODHORSKA - OKOŁÓW.
Redakcja i Administracja: Warszawa, Plac Zamkowy 9, tel. 239 40. Ekspedycja: ul. Górnośląska 19, tel. 714-75.

Druk. Zakł. Graf. Tow. Wyd. „Bluszczy“. Rymska 8, tel. 244-18.